Nr. 10 i 11. Kraków, październik i listopad 1910. Rok X.



:: PISMO DLA KOBIET ::
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:
rocznie . . kor. 1·50 | za granicą . marek 1·50
półrocznie . . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.
W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P

Marya Konopnicka.

Właśnie minęło lat ośm, kiedy wyszedł ozdobny, październikowy numer Przodownicy, ze złocistym napisem na tytułowej karcie:

„Maryi Konopnickiej, natchnionej Pieśniarce ludu polskiego, która przez ćwierć wieku siejąc w Imię Boże ziarno zgody, braterstwa i wzajemnej miłości pomiędzy wszystkie dzieci wspólnej matki naszej Ojczyzny, nie przestaje budzić ludu polskiego z wiekowej niedoli ciemnoty dźwiękami pieśni potężnej, wskazując na: miłość oświaty, mowy i ziemi rodzinnej, jako na ideały życia, wiodące do przyszłego odrodzenia Polski".

Była to radosna chwila 25-o letniego jubileuszu Poetki. Dzisiaj tesame wyrazy czci i hołdu powtarzamy, żałobny wieniec kładąc na świeżej mogile wielkiej, ukochanej Pieśniarki naszej. Marya Konopnicka zmarła we Lwowie dn. 8-go października b. r. Pisemko nasze traci w niej wielką, szczerą przyjaciółkę i protektorkę, lud wiejski i wszyscy, co cierpią, gorące serce, co umiało kochać, współczuć niedoli i wołać o pomoc, a naród polski traci wielką, największą ze współczesnych poetkę i autorkę.

Marya Konopnicka urodzona i wychowana na wsi znała, rozumiała i kochała lud wiejski; kochała zagon ojczysty i te szumiące na nim zboża i barwne kwiecie łąk i szumy leśne i śpiewy słowicze i szmer srebrnych strumieni a o cudach ziemi naszej prześliczne układała wiersze i pieśni.

Z bogatej dziedziczki stała się ubogą pracownicą. Długie lata mieszkała w Warszawie i tu uczyła cudze dzieci, aby zarobić na wychowanie swoich, pięciorga. Dzieci kochała, umiała przemawiać do nich tak, aby ją rozumiały i pisała dla nich bardzo piękne książeczki wierszem i prozą, w których uczyła miłości Boga, Ojczyzny, pracy i bliźnich zwłaszcza tych, co cierpią. Najpiękniejsze

z jej książeczek dla dzieci są: „Jasełka", „Nowe latko" i „Historya o krasnoludkach i sierotce Marysi", opowiada w niej autorka jakto „krasnoludki" czyli „Bożęta" ludziom w pracy pomagali, jakto w sercu rozpaczonego wieśniaka, któremu żona umarła obudzili ochotę do pracy, litość dla biednej sierotki, którą zła gospodyni wypędziła i zbiła do nieprzytomności za to, że jej lis gąski podusił. Opowiada, a opowiada cudnie jakto krasnoludki sobótkę obchodzą i radują się i śpiewają, a szczęściem darzą tych, co pracują, co mają litość nawet nad niemem stworzeniem. Poetka sama litość wielką miała w sercu dla wszelkiego cierpienia i dla wszelkiej nędzy.

Znane Wam Kochane Czytelniczki niezawodnie pełne smutku jej wiersze o biednym Jasiu, synku robotnika, co w zimnej izbie chory, głodny czeka wiosennego słonka — i nie doczekał! Albo znowu o tem nieszczęśliwem dziecku z suteryn, które nigdy nie widziało traw zielonych, zboża, lasu, ani łąki kwietnej, słucha, gdy mu matka opowiada o cudach wioski i pyta, czy nie takiem jest dzieckiem jak inne, że te piękności nie dla niego. Jakie to wzruszające a zarazem mądre opowiadanie wierszem p. t. „Przed sądem", gdzie pisze poetka o małym chłopczynie, oskarżonym o jakieś przestępstwo, które popełnił, bo nikt mu dotąd nie powiedział, co jest złe, a co dobre. Teraz stoi drżący i blady przed sędzią i czeka wyroku. Sędzia zapytał o rodziców dziecka — odpowiedziano: nieznani – zamyślił się więc, patrzy na wizerunek Chrystusa, rozpiętego na krzyżu i myśli, że Bóg kiedyś sądzić będzie wszystkich ludzi i Bóg widzi, kto winien więcej, czy dziecko - sierota bez opieki, czy ci, co nie starają się, aby dzieci nie były opuszczone. Mądry sędzia położył rękę na głowie chłopca i powiedział: „Idź dziecię, ja cię uczyć każę".

Widziała kochająca lud poetka, że głównym powodem niedoli i nędzy jest ciemnota. To też nieraz, w niejednym wierszu dopomina się o szkoły, o światło o naukę dla wiejskich dzieci. Ojczyznę kocha gorąco i wierzy, że Bóg da jej zmartwychwstanie, da nam lepszą dolę, byleśmy nie zapomnieli, że Polakami jesteśmy. Prześlicznie odzywa się „do Braci Ślązaków", a w wierszu „Do granicy" opisuje męki wypędzonych z Prus rodzin polskich. Pisała także bardzo piękne powieści krótkie, czyli nowele, a i w nich prawie same smutne wydarzenia opisuje, aby wzruszyć ludzkie serca, aby obudzić litość, współczucie, chęć niesienia pomocy i ulżenia wszystkim, co cierpią, nędzarzom i pokrzywdzonym. A pragnęłaby, aby nie było na świecie „pokrzywdzonych i krzywdzicieli", aby nie dzieliła ludzi nienawiść, ale wszystkich łączyła miłość bratnia.

Będąc kobietą, żoną i matką, doskonale rozumiała i odczuwała, co kobietę boli, co jest jej krzywdą. To też i w wierszach „Do granicy" „Dzwony" — „W piwnicznej izbie", a także i w nowelkach przedstawia kobiety matki cierpiące z własnej i nie własnej winy. Znacie rozdzierające macierzyste serce, opowiadanie „Dym", przeczytajcie inne, jak: Krysta — Pod prawem – Panna Florentyna. i wiele, wiele innych.

Pragnęła Konopnicka widzieć kobiety polskie szczęśliwemi żonami i matkami, pragnęła, aby na szczęście rodzinne umiały zasłużyć. W wierszu „Do kobiety..." uczy więc jak mają kochać... uczy, że kochać to nie znaczy żądać pieszczoty, zabawy, ciągłego zajęcia sobą, ale kochać to znaczy być dla męża towarzyszką w doli i niedoli, dzielić z nim trudy wszelkie, prace, uczucia i myśli.

Najpiękniejszem, największem i już ostatniem dziełem zmarłej poetki jest długa opowieść wierszem p. t. „Pan Balzer w Brazylii". Opowiadanie o strasznych męczarniach, jakie przechodzi gromada ludu polskiego, co zwiedziona do prawdy niepodobnemi obietnicami wyzyskiwaczy; posprzedawała ojcowiznę i wybrała się za Ocean, do Brazylii, po lepszą dolę. Nie wiedzą nawet nieszczęśliwi, gdzie to ta Brazylia? zdaje im się, że

„pono jeszcze trochę dalej — za Częstochową. Może zna z Was która to dzieło, może czytała i płakała pewno nad tą matką, która nie mogąc przeżyć żalu za dzieckiem, które umarłe musiała z okrętu rzucić w morze, sama za niem rzuca się w spienione fale. Albo nad dziewczętami, które wpadają w ręce nieuczciwych ludzi — albo nad tą staruszką i starcem, co niby święci męczennicy idą na śmierć z głodu i umęczenia — czy nie płakałyście. Oj płakać, płakać trzeba, czytając Pana Balzera, płakać, że lud nasz tak ciemny, tak jest nieszczęśliwy. Pociecha jeno w tem, że i tam za Oceanem kochają Polskę - Ojczyznę naszą, że tam głoszą jej zmartwychwstanie, że ta znędzniała gromada tęsknotą wiedziona przedziera się przez puszcze, góry, przepaście, byle wrócić:

„...Idziem do ciebie ziemio, matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny,
Idziem do ciebie, rzesza twoja płasza
Powracające do gniazd swoich syny...
Niechaj nas dola jak paździerz rozprasza
Krzykniesz? Wnet twoje zbiorą się drużyny
Przez imię twoje i twoje wołanie
Lud wierny tobie, u boku ci stanie

...Idziem do ciebie ziemio matko miła,
By upaść czołem na twoje zaproże...
Nie jeno liczba my,... ale i siła
Nie jeno pług my, co łany twe orze
Ale i piorun, co Bóg go posyła,
By walił bory o spróchniałej korze...
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata
Ale i bary — dźwignące pół świata.

Młotami walić będziem w twojej kuźni
Sochą w rozświtach krajać twe zagony,
Aż ci się pęto u szyi roziuźni,
Aż buchnie z ciebie ogień zatajony...
Niechaj nas nie tknie nikt, niechaj nie bluźni,
Że nie masz synów dla swojej obrony!
Na śmierć, na życie oto ci oddana
Podlaska dusza, podlaska sukmana.

Serca się nasze pod stopy twe ścielą
Polsko, jaką cię nie widały duchy!...
Ty wyjdziesz srebrna - łzów naszych kąpielą
Wymyta, strojna w zbóż twoich rańtuchy...
Pola się twoje wiosną rozweselą
Ludów! Ty cała w słoneczne wypuchy
Wolności pójdziesz, co tleją już w niebie...
...Idziemy matko! idziemy do ciebie!

Takim okrzykiem tęsknoty i miłości ziemi ojczystej kończy się przepiękna powieść Konopnickiej, godna, aby obok „Pana Tadeusza" znajdowała się w każdym, polskim domu. Pisała ją poetka długo, ogłaszała drukiem częściami, aż w roku zeszłym wydała całą. Pisała już chorą będąc, od pięciu lat cierpiała na serce i gdyby nie troskliwe, pełne poświęcenia starania przyjaciółki jej panny Maryi Dulębianki, może śmierć dawno już byłaby przecięła życie drogie, dla całego narodu.

W szeregu tych, co wielką Poetkę, Pieśniarkę naszą znali, uwielbiali i serdecznie kochali, stałyście Szanowne Czytelniczki Przodownicy pokaźną gromadką w roku 1902 w czasie 25-io letniej rocznicy Jej pracy literackiej. Złożyliśmy wtedy jako dowód naszej czci i hołdu obok numeru pisma wyłącznie poświęconego Poetce, także album z podpisami i życzeniami. Przeglądam je dzisiaj i widzę, że dużo tam szczerych uczuć wdzięczności, dużo zrozumienia. Przyjęła Pieśniarka nasza ten skromny wieniec wdzięcznem sercem, radowała ją myśl, że pieśni jej dotarły do serc Waszych...

Dzisiaj także hołd Jej niesiem, żałobny hołd łez i modłów na mogile. I dzisiaj cześć Jej wyrządzić pragniem, a jak? oto czytajmy Jej dzieła, czytajmy, uczmy się z nich tej wielkiej miłości, jaką pałało serce Poetki miłości, która pochodzi z nieba a ogarnia świat cały, najczulej zaś tych, którzy mali, nędzni, ciemni, wydziedziczeni ze wszelkiego dobra ziemskiego. Uczmy się z dzieł Maryi Konopnickiej tej miłości, co to mówi, że wszystkie ludzkie łzy pozbiera jak gorzką rosę i zaniesie w górne światy, by je wywypiło wschodzące słonko szczęścia. Uczmy się od Niej wytrwałej, czynnej miłości ziemi ojczystej, pracy i wiary w lepszą przyszłość, pamiętajmy Jej słowa:

„Jeśli nasza dobra dola
Pod ziemią leży,
Przeorajmy wszystkie pola
Na zagon świeży.

Nie szukali my od wieka
Srebra ni złota,
Lecz za dolą to człowieka
Chwyta tęsknota...

Po pradziadach — my dziedzice
Objęli długi,
Przecież stać nas na płużyce
Stać nas na pługi

A więc idźmy, w imię boże
Na czarną rolę
A kto orze — ten wyorze
Swą dobrą dolę.

Paula Spławińska.

PODZIĘKA.

Cieniom Maryi Konopnickiej.

Żeście nam serce swe dali,
Serce, co nigdy nie chłódło,
A mocne, jakby ze stali,
A czyste, jakby cud-źródło,
Dzięki Wam niesiem dziś z sioła
Dla swego Stróża Anioła.

Dzwonią już dzwony, grzmią huczą,
Przed tłumem kroczy Śmierć z kosą —
Król to na wojnę rwie tuczą,
Czy Stacha z wojenki niosą?
Och, Was to niosą, Gaździno
Serc prostych, z których łzy płyną.

Jesienny wiatr Wam przygrywa,
Złociste listki dygocą...
Ach, sercom serce ubywa...
Któż rolę chłopską, sierocą,
Któż ją na wiosnę obsieje,
Kto nam wyśpiewa nadzieje?

Feliks Gwiżdż.

W WINIARSKIM FORCIE.

Ranek był świeży, wiosenny, słoneczny.

W winiarskim forcie, w Poznaniu, piał grubym chrypliwym głosem wielki, kałakucki kogut. Piew to był głuchy, jakby ze ściśniętej gardzieli idący, zakończony charczeniem dwóch kłócących się z sobą falsetowych (falset — przytłumiony głos z głowy) tonów, urwanych na jakiejś niesfornej, czkawkę przypominającej nucie.

Sam kogut wszakże wiele o głosie swoim rozumieć musiał, gdyż po każdym zapianiu stawał jak wryty i, wysuwając coraz wyżej z barków grubą, włochato obrosłą szyję, szybko, jak gdyby w podziwie, obracał na wszystkie strony łeb ciężki, nakryty wielkim, aż na oczy spadającym pierzastym szyszakiem.

W zdumieniu swojem zapominał nawet na chwilę o rozgrzebywaniu śmietnika, stojąc ąk na jednej z silnych, aż do ostrogi kępami pierza obroslych nóg czarnych, podczas gdy druga wyciągnięta w tył ze skulonymi pazurami, zbierała się niezgrabnie do postawienia następnego kroku.

Nim go wszakże postawić zdążył, już ze wszystkich przedmieść poblizkich, z Waliszewa, z Nowej-Grobli, ze Środki — rozlegało się jasne, szerokie, donośne pianie zwykłych polskich kurów, to pojedyńczo, to razem, po dwóch, po trzech, jak tam którego chwyciła myśl dobra. Pomiędzy tymi wyrobionymi i w doskonałą muzyczną frazę (myśl wyrażona w muzyce) zaokrąglonymi głosami słychać było piskliwe, zupełnie jeszcze pozbawione szkoły wyrwasy młodych kogutów, które zaraz wszakże zagłuszał jeden lub drugi wyborny solista.

Wielki kałakut słuchał, przechylał na obie strony obciążoną ogromnym czubem i nabrzmiałymi koralami głowę, sinawą błonką nakrywał na jedno mgnienie oka okrągłe rubinowe źrenice, ale się zwyciężonym nie uznawał, i skoro tylko nieco po przedmieściach ucichło, bił po sobie ciężkimi lotami i zanosił się grubem chrapliwem pieniem.

Natychmiast czyste, metaliczne głosy jego adwersarzy (przeciwników) uderzały w powietrze ze zdwojoną siłą. Czuć w nich było rozdrażnienie niezwykłe.

Sąsiad z winiarskiego fortu świeżym był

przybyszem; przedmiejskie koguty nie nawykły jeszcze do jego tubalnego (potężny; Głos potężnieje odbijając się o ścianki instrumentu zw. tubą) głosu. Wiadomo było, iż uważają go wprost za szykanę (szyderstwo).

Kałakut niemniej czuł się podrażnionym. Nie umiał nawet zgoła wytłumaczyć sobie, dlaczego właściwie ksiądz Johann Wurst, pan jego przeniósł się tu z Westfalii, z miasteczka, gdzie wszystkie koguty tak samo basem piały i gdzie żaden kur nie robil skandalu jakiemiś wykrzykami z za płota.

Było to wprost nie do pojęcia.

I znów się ciężkiemi skrzydłami po żebrach tłukł i zanosił przeraźliwie pianiem.

— Szwabska-krew! -- zaklął wachmistrz Dzieszuk, czyszcząc odświętny mundur przy otwartem oknie. — Drze się, jakby kto barana rżnął. Że też to choć i pianie, to insze katolickie, a insze znów szwabskie...

Wachmistrz Dzieszuk, chłop ogromny a suchy jak chmielowa tyka, dawno już w wojsku służył, a z żołnierzy Polaków był w forcie najstarszym. Tutaj ostry jego wąs poszroniał, tu mu twarz zwiędła i wyschła, tu się w ptasi dziób zaostrzył nos jego kościsty, tu mu się nieco pochyliły bary, tutaj ociężały nogi,

Ale chociaż tak dawno karabin pruski dźwigał, ze „szwabami" nigdy jakoś pogodzić się nie mógł.

Dwa też były u niego gatunki ludzi i rzeczy: „Szwabska-krew" i „Polska-krew". Wszystkie nawet wypadki życia swojego do tych dwu kategoryi odnosił. Dwa razy był naprzykład, „szwabska-krew" raniony: w szlezwiskiej (wojnę szlezwiską prowadziły Prusy z Danią w 1864 r.) i francuskiej (wojna francusko-pruska z 1870 i 1871 r.) wojnie; a raz mu ksiądz Cydzik, proboszcz dywizyjny, podarował, „polska-krew", książkę od pacierza ze złoconymi brzegami i pięknym futerałem.

Jeden tylko odolanowski i kuźmiński atak kwietniowy wspominając, mieszał te obie kategorye tak, że sam już nie wiedział, gdzie tam w tej zawierusze była krew polska, a gdzie znowu szwabska, i dopiero kiedy w opowiadaniu do bicia słupów granicznych przez generała Willisena (głównodowodzącego ze strony Prus w Szlezwiku) przychodziło — ostygał, prostował się, a rozłożywszy suche i długie ramiona, jak męka pańska na rozdrożu, milcząc, stał i gestem pokazywał, że z jednej strony była wówczas „polska", a z drugiej „szwabska" krew.

Wąs mu wtedy szroniasty drżał nad niemą wargą, a zresztą żaden z willisenowskich słupów niebył bardziej nieruchomy i więcej milczący.

Co niedziela paradował Dzieszuk ze swoją książką od pacierza na mszy żołnierskiej, którą proboszcz dywizyjny wczesnym rankiem u fary miewał.

Piękna to rzecz była widzieć, kiedy w długiej, pojezuickiej nawie parami się ustawiła wiara z winiarskiego fortu, mając nad sobą, jak sztandar krótko strzyżony łeb Dzieszuka, który wrostem nad wszystkimi górował. Czasami łeb ten szronem pokryty, zdawał się być tak wysoko, jakby nim Dzieszuk chciał dostać tych gwoździ, którymi przybite były nogi ukrzyżowanego w ołtarzu Chrystusa, i bić o nie czołem.

Patrzyli też w niego młodsi, jakby w tęczę, a niejeden co księdza nie dojrzał i dzwonka nie pojął, ruchami owego łba Dzieszukowego w słuchaniu mszy się rządził.

Stał Dzieszuk, stali wszyscy jakby w ziemię wrośli, klękał — klękali, niby las podcięty; bił się w piersi — gluchy łomot setek rąk, w kułak złożonych rozlegał się, jak stłumione uderzenia młotem.

W jednem tylko nie mogli podkomendni naśladować wachmistrza swojego, a mianowicie w tym wspaniałym geście (ruchu), jakim Dzieszuk książkę swoją z futerała wyciągał, złocone jej karty otwierał, a podniósłszy do wysokości uzbrojonego w okulary potężnego nosa, na całą długość ramion wyciągniętą przed nim trzymał. Tego

stanowczo nie mógł naśladować nikt, i na tym punkcie pozostał Dzieszuk niedościgłym wzorem.

Niemniej wszakże czuła się wiara dumną z posiadania wachmistrza, który ma tak piękną książkę, a co niedziela ścisk był koło Dzieszuka, bo każdy rad był choć futerał od niej podczas nabożeństwa trzymać.

Nie byle komu powierzał go Dzieszuk i nie wpierw w ręce dał, aż ostrym swoim wzrokiem na wylot kandydata do trzymania przebrawszy, uprzytomnił sobie jego całotygodnione sprawki. Boże broń „makuły" jakiej lub „zatrząśnienia oczu", jak mawiał. Uważano też niemal owo trzymanie futerała za niższy jakby stopień służenia do mszy, a Dzieszukowe trzymanie do mszy, jakby za celebrę (odprawianie mszy.

Umiał wszelako Dzieszuk być wspaniałomyślnym, a kiedy wiara dobrze się sprawiała, to półgłosem modlitwy zwolna czytał, aby je najbliżsi słyszeć mogli. Pomdlały mu nieraz srodze od trzymania książki onej ręce, ale nie wpierw ją składał, aż ksiądz Cydzik, zrzuciwszy ornat po mszy, w albie tylko u ołtarza stawał i obróciwszy na kościół twarz szczupłą, bladą i przeźroczystą niemal, znakiem krzyża szeroko zakreślonym w powietrzu nad pochylonemi głowami żołnierzy, zaczynał naukę niedzielną: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego".

Żegnał się wtedy Dzieszuk, żegnała za Dzieszukiem wiara, a po całej nawie szedł szmer jednostajny, aż ucichł gdzieś u drzwi, u kruchty.

Proste były nauki ks. Cydzika, ale i Dzieszukowi i podkomendnym jego niezwykle trafiały do serca. Cichy, delikatny głos mowcy przejmował serca te nawskróś już dźwiękiem samym: tak, że ledwo ksiądz usta otworzył, już się dawało słyszeć w szeregach powstrzymywane sapanie.

Dzieszuk i w tem przecież karność utrzymać potrafił. Jakże to? To jeden będzie sobie w wąsy dmuchał, a drugi nie będzie słyszał nauki przez niego? Jeszcze co!... Oglądał się wtedy marsem, chrząkał, a sapanie wnet cichło po kątach.

Dopiero kiedy wachmistrz dobył czerwonej, bawełnianej chustki i nos potężny nią utarł, a westchnął sobie z głębi, wolno było pofolgować wezbranemu sercu.

Wtedy to, jak na komendę, ucierała wiara nosy, a strzeliste westchnienia unosiły się jak wiatr, aż pod wielki, kryształami obwieszony świecznik, którego płomyki też zaczynały migotać i mrugać, jak oczy do płaczu gotowe.

Płakano wszakże przy większych tylko okazyach. Ot, kiedy na ten przykład, Dzieszuk z książki swojej zagrzmiał na mszy pasterskiej: „Bóg się rodzi, moc truchleje", albo kiedy na wielkopiątkowej pasyi ryknął wielkim głosem: „Jezu Chryste Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy!" — lub kiedy wreszcie podczas rezurekcyi jak z moździerza huknął: „Wesoły nam dziś dzień nastał!" Tę pieśń lubił szczególniej, a w miarę, jak ją śpiewał, głos jego młodniał i nabierał słodyczy, tak, że przy słowach: „Witajże Jezu najsłodszy, Synaczku mój najmilejszy", podobny był gruchaniu gołębia, który, lubo przytwardy już nieco na pieczeń, tokować przecież nie zapomniał jeszcze.

Słodycz ta pozostawała mu w głosie i w spojrzeniu na cały ten tydzień, który raz na zawsze spędzał u kuma swego, strażnika trzeciej bramy w winiarskim forcie, Wojciecha Kociały, igrając z dziatkami jego i pożywając dar boży, iż to sam sierota stary, domu swego i ogniska nie miał, odkąd syn jego jedyny pod Odolanowem... szwabska krew!...

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale się przy tych słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś wielkiego dnia po Wielkiejnocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u fary biją, a biją, jakby pęknąć miały, a Dzieszuk nie spieszy się jakoś. A czego się spieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szepty chodziły już oddawna po winiarskim forcie, ba, po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał zdaleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakiemużby się tu z ludźmi dogadał?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lazły.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy proboszcz sprowadził z betami, z gratami, z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

— A no, da się to widzieć! — Przestał mundur czyścić, wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara jak zawsze dwójkami do fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze niż zwykle nad wszystkimi sterczy.

Na prawo przed ołtarzem, klęczący w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasty nad wargą Dzieszuka, ale nic. A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystyi.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował „Asperges". Rozstąpiły się dwójki na obie strony nawy, a celebrant ruszył środkiem, poprzedzony przez wylękłego i plączącego nogami chłopaka z kubełkiem wody, w komeżce.

— Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna, kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy; ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy widać nową, błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w ręku trzymał, po ludziach bystro pogląda, jaby ich odrazu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jakby kropel parę... I nagle go coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej go to stropilo, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, węzłowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych cichych zachwyceń dawnego proboszcza. Od „Introit" do „Ewangelii" — jakby z bicza trzasł. Połowy, gdzie! ćwierć zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kiedy już ksiądz „Credo" śpiewał. Przed podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się jakoś u ołtarza palą i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni?

Ta pieśń doroczna, ta pieśń naśpiewana tak mu wierciła w głowie, że, padłszy na kolana przy podniesieniu, bił się w piersi jak na „Agnus" (Baranek Boży), a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz ludzką, bardzo bladą.

Po „Podniesieniu" szronowaty łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła toż samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale litery i wiersze migały mu przed oczyma, jak czarne punkta i wężyki. Wydłużał i przyciągał ręce, ale to nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: »*Ite missa est* (idźcie, msza skończona) — Alleluja!«

Ano, kiedy „Alleluja“, to już dobrze. Przynajmniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydął piersi, już nogi dla pewniejszego dobycia głosu rozstawił, kiedy nowy proboszcz, zrzuciwszy ornat, przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstągą żółtą do nauki stanął i, zakreślając szeroko w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

— »*Im Namen des Vaters, des Sohnes, und den heiligen Geistes*... (W imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego) — Amen!«

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

— Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— *Meine teueren Brüder!* (Moi drodzy bracia) — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę?!.. Chryste Chryste! Chryste!

Wypadla z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma! podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie; i włóczyć się będzie u tych stóp przebitych i nie puści, póki go tu nie przeżegna zaraz po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista nie zagrzmi: „Wesoły nam dziś dzień nastał“.

Wesoły... Chryste! Chryste! Toż dzień sądu, a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwychwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i przebicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstali z grobu umarli!... Boże, Boże, czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił?...

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana i, wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

„Któryś za nas cierpiał rany,
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami“.

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch i w ono błaganie żałosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął, i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w komeżce w bok szturknął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że słyszy wbijanie nowych słupów willisenowskich. Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci (Noteć — rzeka, dopływ Warty, z którą razem wpadają do Wisły) stały, od Krotoszyna, od Międzychodza, od Kępna (miasteczka w W. Księstwie Poznańskiem), ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani jednego! On wie, że nie było, on przysiądz gotów!

I rozpostarł ręce i twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły, szły...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johann Wurst przez zakrystyę na plebanię wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tafli podłogi, podniósł się, zatoczył i jak pijany ku drzwiom iść

zaczął, zapomniawszy, po raz pierwszy, zabrać książkę swoją.

Przy drzwiach trącił go Kociała.

— Ej, co tam kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem...

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby?... Nowotny...

— Pożywajcie z Panem Jezusem — odparł Dzieszuk i powlókł się na kwaterę.

Tu zrzucił mundur, padł na tapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego żołnierskiego chleba i, zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce. Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkiemi chmurkami, a ciepły, rzęsny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi kałakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zarzucił stary lejbik, czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, przyciszając kroku.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła okrutny lament. Ulubiony kałakut nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzędę służyła. Grube jego pierzem obrosłe nogi sterczały skulozymi pazurami wysoko do góry, szyja była skręcona, przy silnym dziobie nieco krwi zaschłej.

Była to zapewne „szwabska krew“.

Marya Konopnicka.

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Druga elekcya.

Druga elekcya, czyli drugi wybór króla, nie poszedł tak gładko jak pierwszy, podczas którego obrano królem Henryka Walezyusza; gdyż po jego ucieczce, posłowie rozmaitych monarchów, jak króla szwedzkiego, księcia Ferrary, księcia siedmiogrodzkiego Stefana Batorego, arcyksiążąt austryackich Ferdynanda i Ernesta, oraz cesarza niemieckiego Maxymiliana II., czynili usilne zabiegi w celu pozyskania Korony polskiej dla swoich władców. Najwięcej agitowali posłowie cesarza, który pragnął koniecznie pozyskać godność króla polskiego dla syna swego, arcyksięcia austryackiego Ernesta. To też, gdy d. 4. listopada 1575. roku zebrał się pod Warszawą sejm elekcyjny, powstało wśród biskupów i senatorów silne stronnictwo cesarskie, które jednak chciało wynieść na tron polski nie arcyksięcia Ernesta, tylko samego cesarza Maksymiliana II. go, chociaż on wcale się o to nie starał. Do stronnictwa tego przyłączyli się niektórzy posłowie i członkowie rycerskiego koła, jak np. słynny poeta Jan Kochanowski, Krzysztof Zborowski, Czarnkowski i wielu innych. Większość jednak sejmowych posłów, a na czele ich Jan Zamoyski, przeciwną była wyborowi cesarza; ówcześni bowiem cesarze niemieccy, gdziekolwiek władali, starali się wszystko niemczyć i na sposób niemiecki przerabiać, a zarazem dążyli do samowładztwa. Czynili tak w Czechach i na Węgrzech, w których panowali jako królowie. Całkiem słusznie obawiano się, że cesarz zasiadłszy na polskim tronie tak samo zechce gospodarować w Polsce: szerzyć będzie niemczyznę i uciskać wolność, a szczególnie wolność religijną.

Jan Zamoyski w świetnem przemówieniu, sprzeciwił się wyborowi cesarza, wykazując

niebezpieczeństwa takiego wyboru, grożącego ukróceniem wolności i sprowadzeniem na Polskę wojny tureckiej i niechęci Francyi; Turcya bowiem i Francya były nieprzyjaciółkami cesarza, a Rzeczypospolitej zależało wiele na zgodzie z temi państwami.

Wskutek tego większość rycerstwa, posłów i część senatorów, oświadczyła się przeciw cesarzowi, a za wyborem Polaka, czyli „Piasta“ jak wówczas nazywano polskich kandydatów na tron królewski.

Rozgniewało to bardzo prymasa. Uchańskiego i innych senatorów, popierających wybór cesarza, którzy sądząc, że nagłem postanowieniem zaskoczą i przestraszą przeciwników, odjechali z pola elekcyi do Warszawy, gdzie d. 12. grudnia 1575. prymas ogłosił królem Maxymiliana. Ogłoszenie to było całkiem bezprawnem, prymas bowiem miał prawo ogłaszać króla wybranego przez naród, a nie sam go wybierać i mianować. To też wśród posłów sejmowych i zgromadzonego na polu elekcyjnem rycerstwa, wybuchło ogromne oburzenie. Stronnicy rozmaitych książąt zagranicznych, jakoteż partya popierająca „Piasta“, połączyli się razem, wojewodowie Tęczyński i Kostka, których uważano za kandydatów na tron królewski, zrzekli się kandydatur i wszyscy jedno zgodnie obrali królową królewnę Annę, a królem Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego, który jako kawaler miał królewnę zaślubić.

Wybór ten, wśród powszechnej radości, ogłosił w kole rycerskiem i sejmowem Andrzej Zborowski koronny marszałek nadworny, w senacie zaś Andrzej Opaliński marszałek wielki koronny.

Posłowie Stefana Batorego Blandrata i Berzewiczy zaprzysięgli „pacta conventa“ w imieniu nowo obranego króla, do którego wysłano uroczyste poselstwo wzywając go, by jak najrychlej przybył do Polski; równocześnie zaś wyprawiono innych posłów do cesarza z oznajmieniem o wyborze Anny i Stefana, oraz z ostrzeżeniem, że ogłoszenie go królem przez prymasa jest całkiem bezprawne i nie ma żadnej wagi.

Pomimo tak jednomyślnie objawionej woli narodu, prymas upierał się przy cesarzu i wysłał do niego posłów zapraszając go na tron polski — nadto zwołał na dzień 25. lutego 1576. roku zjazd do Łowicza, w celu przeparcia wyboru Maxymiliana. Tym czasem jednak już dnia 18. stycznia, tego samego roku, rozpoczął się bardzo liczny zjazd w Jędrzejowie, na którym pomimo zabiegów duchowieństwa i cesarskich posłów, potwierdzono jednomyślnie wybór Anny i Stefana, a obstających przy Maxymilianie ogłoszono nieprzyjaciółmi Rzeczypospolitej i postanowiono, że sejm koronacyjny rozpocznie się w Krakowie dnia 4. marca 1576 roku. Jakoż dnia 18. lutego królewna Anna odbyła uroczysty wjazd do Krakowa, jako królowa, a sejm rozpoczął się w dniu oznaczonym, oczekując nowo-obranego króla. Ten zdawszy rządy nad Siedmiogrodem bratu swojemu Krzysztofowi Batoremu, wyruszył do Polski przez Bukowinę, dnia 3. marca przybył w granice Rzeczypospolitej do Śniatyna, a 18. kwietnia 1576. roku wjechał uroczyście do Krakowa. We dwanaście dni później, 1. maja, odbyła się wspaniale koronacya Anny i Stefana, której dokonał biskup kujawski Stanisław Karnkowski, w asystencyi biskupów przemyskiego i chełmskiego, nazajutrz zaś dnia 2. maja, nastąpiły również wspaniale i uroczyście obchodzone zaślubiny królewskiej pary.

Tak po królu zbiegu, Henryku Walezyuszu, zasiadł na polskim tronie, obok Anny Jagiellonki Stefan Batory, jeden z najdzielniejszych królów naszych, któremu, jak zobaczymy, należał się słusznie tytuł króla zwycięzcy, chociaż go tak historya nie nazwała.

Inż.. Eustachy Śmiałowski.

Na śmierć Kościuszki.

15 października 1817.

Tam w Szwajcarów wolnej ziemi
Żył Kościuszko długie lata
I obracał tęskne oczy,
Gdzie rodzinna Jego chata.
    Z Maciejowic w ranach wzięty,
    Ciężką przerwał on niedolę,
    Nim wygnaniec poszedł we świat,
    Na tułactwo, na niedolę!
Aż gdy poczuł, że śmierć blizko,
Ujął w ręce miecz swój dumny
I rzekł: — Walczył w świętej sprawie,
Włóżcie ze mną go do trumny
    I na północ spojrzał rzewnie,
    Twarz mu blaskiem się zajęła,
    I konając wyrzekł z mocą:
    — Jeszcze Polska nie zginęła

Marya Konopnicka.

Czy i jak uczyć małe dziecko mowy ojczystej?

Zanim różowe maleństwo uraduje kochającą matkę słodkiem słówkiem „mama" napełnia pierwej, od paru miesięcy cały dom wesołem gaworzeniem jeżeli zdrowe, a lamentem i płaczem, żałosnem kwileniem, gdy chore lub głodne. Dlaczego nie przemówi odrazu? Oto dla tej samej przyczyny dla której nie odrazu siada, stoi lub chodzi, o ile zrazu dźwiga główkę, rzuca nogami i rękami, widocznie niemi nie włada. Musi wyćwiczyć mięśnie, zanim usiądzie, zanim coś pochwyci. Tak samo musi wyćwiczyć narzędzia mowy, a także ucho i myśl, zanim zacznie wymawiać wyrazy. Uczy się mówić, naśladując to, co słyszy. Naśladuje więc głosy zwierząt: hau! hau! — miau, miau – mówi na psa i kota, mee... na owieczkę, buu — na krowę, jeżeli z niemi obcuje. Gdy coś upadnie woła dziecko bach albo bęc. Nie mogąc dokładnie wymówić słów słyszanych, przekręca je i wyrabia sobie jakby osobny język, zrozumiały tylko jemu i tym osobom, które je otaczają. Gdyby dziecko mowy ludzkiej nie słyszało i było zupełnie samo, nie nauczyłoby się mówić. Wiemy, że dzieci głuche od urodzenia, lub te, które skutkiem choroby lub wypadku w pierwszym roku życia słuch utraciły, są także nieme. W zakładach uczą się później mówić przez naśladowanie ruchów ust i języka uczącego, ale mówią zawsze źle, głosem martwym, bezdźwięcznym, znać, że tego, co mówią, nie słyszą.

Czy trzeba dziecko uczyć mówić? Uczy się samo przez naśladowanie, a więc pierwszy warunek: trzeba aby mowę słyszało, trzeba do dziecka mówić, a mówić wyraźnie, pomału, nie seplenić niby z pieszczot, nie trzepać bez umiarkowania. Ponieważ razem z mową i przez mowę starszych kształci się i myślenie dziecka, więc niech starsi, bawiąc się z dzieckiem, nie mówią bez myśli, niech też nie mówią w obecności dziecka niczego, czego nie chcą, aby dziecko wiedziało, pod pozorem, że małe, to nie rozumie, zrozumie ono prędzej niż nam się zdaje, a niebaczne nasze słowo zbrudzi jego duszyczkę, spaczy umysł. Dzieci, jak mówiłam, i jak to wiemy z doświadczenia, tworzą sobie jakby osobny język, wymyślają wyrazy dla nich do wymówienia łatwiejsze, albo i to bardzo długo nie wymawiają niektórych głosek. Wiele dzieci jeszcze w szkole nie wymawia „r" i „k", mówiąc natomiast „l" i „t", „nie lusaj pióla, bo pani nie tazała", nie wymawiają niektóre „g", ale „d" – nie mówią „ł". Niektórzy z wychowawców utrzymują, że do dziecka trzeba mówić jego językiem, bo inaczej dziecko się zanadto męczy. Nie sądzę, aby tak było, a wiem z doświadczenia, że dzieci, do których mówiono sepleniąc i przekręcając wyrazy, bardzo długo nie umiały dobrze mówić. Nie zmuszajmy dziecka, aby mówiło odrazu tak jak dorośli, niech używa swoich

wyrazów, niech je po swojemu wymawia, my je rozumiemy, ale i ono nas rozumie, chociaż nie mówimy jego językiem, a w miarę możności przez naśladowanie nauczy się mówić dobrze. Mówmy więc zawsze dobrze. Kiedy dziecko 4—5 letnie nie wymawia niektórych głosek, trzeba je uczyć pokazać, jak ma ułożyć język, wargi, gardło, jak głos wydać, aby żądaną głoskę wymówić. Jeżeli niema wady narzędzi mowy, to dziecko się nauczy, im dłużej będzie trwało w złem przyzwyczajeniu, tem trudniej je oduczyć. W szkole dużo jest dzieci sepleniących, połykających głoski, mówiących niewyraźnie, a czasu niema aby te wszystkie wady wykorzenić, powinien dbać o to dom i to w pierwszych latach życia dziecka. Pamiętam z własnego dzieciństwa, sporą już byłam dziewczynką, a nie umiałam wymówić „k" i „r", zamiast kura, mówiłam „tula". Ojciec uczył, kazał mówić „k" gardłem, przy „r" język do zębów przyciskać — próbowałam ale ciągle mówiłam po swojemu. Przyjaciel ojca, który często bywał w domu, bawił się tem mojem niedołęstwem i wchodząc we drzwi, wołał: Powiedz „kura" — ja moje „tula", on w śmiech, drwił, dogadywał, wyśmiewał przed innymi gośćmi, że zawstydzona uciekałam, gdy go tylko zobaczyłam. Jednego wieczoru, kiedy przywitał mnie po swojemu, skryłam się w kącie i póty nieszczęsny wyraz powtarzałam, aż zawołałam na cały głos: „kura, kura, słyszy pan, już umiem mówić kura". Śmiechu było, ściskań i całusów nie mało. Odtąd wada moja znikła. Trud, jaki sobie zadałam, nic mi nie zaszkodził, owszem miał ten skutek, że zawsze starałam się wymawiać wszystko wyraźnie i dokładnie, a obecnie tego samego żądam od moich uczenic.

Główną nauczycielką mowy ojczystej jest dla dziecka matka. Ona, gdy je karmi, gdy bawi i usypia, przemawia czule, śpiewa, wywołuje na jego usta pierwsze uśmiechy i pierwsze wyrazy. Jakże to słodki, a jak wielki, jak święty obowiązek matki, zwłaszcza matki Polki! Ona ma czuwać aby z jej ust, z jej serca płynęła czysta, piękna, nieskażona mowa ojczysta, w usta i w serce dziecka. Nie sądźcież matki Polki, że przysługę oddacie dziecku waszemu, gdy je uczyć będziecie wyrazów obcych, zasłyszanych od brata lub męża, którzy wrócili z wojska, albo wyrazów, które pochwyciłyście same bawiąc na robocie w obcych krajach, lub we fabrykach wśród cudzoziemców. Niech wam się nie zdaje, że wasza mowa prostacza, że obce wyrazy cechują mowę ludzi wykształconych, albo znowu czytając książki nie nabywajcie przesadnego sposobu wyrażania się — ale mówcie poprostu, jak mówili nasi dziadowie. Niech proste serdeczne, a zrozumiałe słowa modlitwy, słowa pozdrowienia z serca waszego płyną w serce dziecka. Niech nad jego kolebką rozbrzmiewa ojczysta piosenka do „Serdecznej Matki, opiekunki ludzi", do Królowej Niebios, co i Polski jest Królową, niech malec słyszy o Bartoszu, co w karczmie siadł za stołem i opowiada jak to Naczelnik zoczył Moskali, a kosynierzy armat mu dwanaście zdobytych przywiedli. Niech słyszy o „liściach, co lecą z drzewa a wyrosły wolne", o księciu Józefie, o tych bohaterach, co krew i życie za Ojczyznę i wolność przelali. Ucząc piosenek nauczycie mowy ojczystej, w serce dziecka wszczepicie jej miłość. Jeżeli dziecię wasze pójdzie do szkoły polskiej, ułatwioną będzie miało naukę, jeżeli tak jest nieszczęśliwe, że w szkole obcej zmuszać je będą do nauki w obcym języku wrogów naszych, albo jeżeli później zapędzi je los za chlebem w obce dalekie strony, to tam pacierz w języku ojczystym, piosenka, którą matka u kolebki śpiewała, będą mu przypomnieniem Ojczyzny. Wiedzcie matki Polki, że niema takiej siły na świecie, któraby kazała zapomnieć dzieciom tych słów słodkich, jakie ich usteczka za wami wymawiały. Pamiętajcie, że póki pacierza polskiego, póki pieśni ojczystej nie zapomnimy, póty żyć będziemy ja-

ko naród. Pamiętajcie, że piosnka wasza, ze słowa modlitwy z dzieckiem po polsku odmawianej, to siła, to potęga nad mury i twierdze obronne, bo to potęga i siła niezgaszonego i niegasnącego życia narodu.

Paula Spławińska.

Na „Zaduszki".

Na cmentarzu wiejskim — cichym
Przysypani piaskiem lichym
Śpią sen nieprzespany.
Leżą dziady, ojce, matki;
Leżą zmarłe drobne dziatki,
Śpi nędzarz nieznany!
Wszystkim rzewnie szumią drzewa,
Wszystkim piosnkę ptaszek śpiewa
Ten stary — serdeczny.
I jednakie te mogiły
Które zwłoki ich pokryły
Na spoczynek wieczny!
Brzozy wieńcem otoczyły
Spadłym liściem ozłociły
Te samotne łoża.
Słońce rzuca garść promieni,
Księżyc kładzie smugę cieni,
Rumieni je zorza.
Czasem smutny i spróchniały
Stoi w głowach krzyżyk mały
Lub brzózka bieleje.
Czasem ziele lub barwinek
Biednej matki upominek
Badylkami chwieje.
A gdy przyjdzie „Wszystkich Świętych",
Na mogiłkach zarośniętych
Płoną na „Zaduszki",
Drobne światła zapalone,
Jakby gęsto rozrzucone
Świętojańskie muszki.
Z zapadłego gdzieś kącika
Miga wątły blask płomyka
Jakby wyrósł z ziemi.
Mogiłka się rozsypała
Lecz ją matka odszukała
Oczyma tęsknemi!
Coraz ciszej! Zmrok zapada
Wietrzyk szmerem opowiada
Duchów tajemice.
Trzeba żegnać drogie groby
A łzy bujne w znak żałoby
Zalewają lice.

Jadwiga Szegdziańska

Mój cmentarzyk.

Bujnem latem bywa okryty taką gęstwiną kwiecia i trawy po pas, iż trudno poznać, że to jest miejsce wiecznego spoczynku tych — co odeszli chat swoich w lat późnych starości, w południe życia i w porze dzieciństwa. Każdy — dobiegł kresu swojego i nic go zatrzymać nie zdoła, ni modły — ni łzy — ni błagania..

„Stań się wola Twoja" — szepcą rozmodlone usta i łzy spadają na bujne kwiecie cmentarne, mieszając się z prochami zmarłych. — — —

Cmentarzyk jest stary. Krzyże po większej części obaliły wichry i zniszczyły słoty jesienne, napisy wyżarła wilgoć i rdza. Na mogiłach niektórych świeci jeszcze złocisty wizerunek Chrystusa w pogodnem, jesiennem słońcu. Inne pozapadały się zupełnie w ziemię, zrównały — tylko nieznaczne faliste wyniosłości, po których depcą stopy przechodnia świadczą, iż wszędy tu z kości umarłych bujny kwiat cmentarny wystrzelił do słońca...

Na jednym z krzyżów zawieszono różaniec i mały metalowy krzyżyk, na odpuście kupiony. — Krzyżyk taki ładny, niebiesko emaliowany o brzegach złotych — ale nie ruszy nikt tego, nawet swawolne chłopaki, co cudze jabłka radeby strząsać po sadach, nie tkną tego daru matczynego...

To gościniec dla Rejki, od matki jej, chałupniczki...

Rwała się Rejka w świat, jak ta gąska dzika, rwała się wiosną z jaskółkami. Bywa-

ło ręce wyciąga do ciągnącego klucza żórawi, radaby się uchwycić ich i tam polecieć, gdzie one polecą, ale cóż — nie popłynęła gąską, nie poleciała żórawiem, ale ot pojechała w ciasno nabitym ludźmi wagonie. Tylko że nie uźrała „wielgiego morza“ i „świata jenszego“, ale nędznie gdzieś po drodze od „gasu nieprzekręconego“ jak mówili, zginęła, kiedy na okręt czekali... I wróciła tu „aże we trzech trumnach“ napowrót — do sioła — do matki...

Niechciała ziemia rodzona puścić swej ukochanej Rejki, tak były miłe śmiechy jej dziecęce i głośne, kiedy wracała na podwieczerz z pola i oczy, co grzało ładne słonko...

Nie mogła jej zatrzymać żywej, zniewolić ku sobie niczem, bo tęskniła czegoś, rwała się jak ten ptak wędrowny w świat — i w świat. — — — Ma ją przynajmniej teraz na cmentarzu swym...

...„Aże“ trzy trumny zamknęły się nad tobą Rejko „nieposiedzona“ — nad twojem młodem niespokojnem czołem — warkoczami po pas. — — —

— — — Siła ludu była na twojem pogrzebie — najpiękniejsze chłopaki dźwigali na barkach trumnę, przywiezioną ze świata — — —

Cóż ci z tego Rejko?... Co ci?...

Bogaty krewny, użaliwszy się rozpaczy matczynej, sprowadził ją aż z Bremy... Krzyżyk złoty postawił, a matka przynosi gościńce z odpustu, jak niegdyś, jak przed laty, kiedy małą dziewczynką wybiegała na próg chaty pytając „coście mi matusiu przynieśli?“.

— — — — — — — — — —

Niedaleko mogiły Rejki, dziwnym trafem znajdują się dwa kamienne nagrobki, „pańskie“. Nazwiska na nich obce, brzmią z cudzoziemska. Nie będę ich tu przytaczać, bo takby ich nikt nie spamiętał. Dwie siostry Irlandki leżą obok siebie — — ptaki tułacze zagnane wichrem losu na mały cmentarzyk podhalański... „Proszą o Pozdrowienie Anielskie“... Szepcą więc pobożne usta ludu naszego „Zdrowaśki“ nad temi dwoma sierocemi mogiłami dwóch sióstr cudzoziemek, które gdzieś zdala od swoich wybrzeży ojczystych pomarły — a polska ziemia oczy im przysuła... Czyjaś pamięć otaczała przed laty miejsce to staraniem, żelazne sztachetki chroniły ogródek, pełen wonnych kwiatków — dziś sztachety leżą obalone na ziemi, ogrodowych kwiatów ani śladu jedna kępka biało paskowatej, „pańskiej trawki została ze wszystkiego.

Tylko ziemia-matka, dla wszystkich po śmierci jednaka, pamięta i o nich. Porasta więc darń zielona, świecą żółtemi serduszkami stokrocie polne, a drobne dzwoneczki liliowe, przegibują się na swych wiotkich łodygach z wiatrem ku ziemi, jakby szeptały umarłym: Czy pamiętasz?... Czy pamiętasz? ten? — ów? — dzień z twojego życia?...

I dobrze im tu u nas — na wiejskim cmentarzyku — w pośród wsi polskiej.

Nie onieśmiela on spiżowemi kolumnami, sięgającemi obłoków, nie odstrasza marmurowymi grobowcami, tłoczącymi pierś umarłych, ani zbytnią odległością od żywych, z którymi ciężko się było zmarłym rozstawać. Wiejski cmentarzyk leży w pośrodku wsi: Cienisty stary ogród pełen lip, świerków, modrzewia i jasionów, przytyka doń murem granicznym. Latem do cichej wsi, podhalańskiej zjeżdżają się goście, na odpoczynek z miast stołecznych przybywa młodzież szkolna, bywa więc huczno, wesoło i gwarno. Echa młodych, rozbawionych głosów odbijają się po cmentarzu, ale nie mącą odpoczynku zmarłych, śmierć i życie zda się podali tu sobie dłoń wzajemnie. Mnóstwo ptactwa gnieździ się w zdziczałych krzakach bzów, malin i berberysów, które bujnie rozrosły się pod światło łaski bożej.

Łaska zeszła zaraz od świtu jego dzieciństwa, jak jutrzenka pogodna, porastała wciąż w silniejsze blaski, aż do pełności południa życia.

* * *

Obcy, przechodząc tędy po raz pierwszy nie wie, że mija cmentarz — że znakiem

krzyża, lub uchyleniem kapelusza wypada mu pozdrowić ten rozświergotany w ziołach tonący gaj, tę łąkę kwietną, pełną brzęku pszczół.

Nie zauważy, siwym mchem pokrytych, żłobionych zgłosek na bramie: In via pacis — tylko go naprowadzi na to, ta stara babulka, żebraczka z różańcem w ręku, mijająca cmentarz z głośnem westchnieniem: „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie“. Stanie — zwróci pomarszczoną twarz — w stronę cmentarza, rozpostrze swoje ciemne, drżące ręce i trząść niemi będzie w kierunku grobów zapadłych, jakby krzyżów pruchniejących zaklęcia czyniła. Żebraczka, stara wróżka i strażniczka grobów, co z mamrotaniem modlitewnem, przechodzi tu od jednego do drugiego, laską odgarniając trawy wysokie, rozpoznając ścieżki i ślady, gdzie? kogo? kiedy? pochowano...

Przypomni, odgrzebie w starej pamięci i nazwisko i imię i wiek...

Ona ich wszystkich znała jeszcze dziećmi i — przeżyła...

Stanie — rozpostrze ręce w słońcu i trząść niemi będzie jak starożytna kapłanka w tajemniczym religijnym obrzędzie, nad tymi wszystkimi, co tu za nim się położyli na spoczynek, mocno swe stopy utrudzili chodzeniem. Coś im kazało gdzieś biedz nieustannie, czegoś szukać po świecie... troszczyć się... zabiegać o coś... na co?.... Po co?... Wieczne odpoczywanie racz dać Panie duchom ich, co nigdy utrudzonemu ciału spoczynku nie dały...

Byłam na cmentarzyku latem, byłam i jesienią, kiedy to bez dziki czarne korale ze zwiędłych osypuje szypułek, a czerwona jarzębina w rosach staje. Cisza zaległa wioskę i cmentarzyk sposępniał opustoszony z weselnej zieloności. Przepadły kędyś echa radosne, co się Bóg wie skąd światem tu niosły... Tylko w październikowy, pogodny ranek, sznury dzikich gęsi leciały po nad cmentarzem. Zatoczyły koło nad świecącymi krzyżami, nad zapadłemi mogiłami z żałośnym krzykiem, jakby tu ostawiały kogoś na zawsze, a potem rozpostarłszy na całą długość skrzydła, ostrym klinem wzbiły się w powietrze lecąc w świat. — — — A mnie się zdawało, że unosiły z sobą duszę — tesknotę tych wszystkich, których ciała rozsypywały się prochem...

A. Bandrowska.

MODLITWA.

Boże! Boże! Daj Ty nam, jakie zechcesz miano!
Niechaj ludy nas zowią kolumną strzaskaną,
Niech nas zowią pochodnią przez dzieje zdmuchnietą.
Ziemią łez i narzekań, krainą przeklętą,
Cmentarzem, gdzie się włóczą dusz rzesze pokutne,
Stepem, gdzie rosną kwiaty mogilne i smutne,
Własnej przeszłości naszej potępionym cieniem,
Nędzarzami bez domu, bez jutra istnieniem,
Niechaj zowią nas tłumem rozbitków posępnych,
Dziedzicami marzenia, co duchy ciska,
Niech nam nawet wszelkiego odmówią nazwiska...
Ale ochroń nas, o Boże, od miana występnych!

Marya Konopnicka.

Rewolucya w Portugalii.

Na południowo zachodnim krańcu Europy, na półwyspie Iberyjskim, rozciąga się szerokim pasem z północy na południe kraj, zwany Portugalią. Kraj ten oblany od zachodu i południa oceanem atlantyckim, graniczy od wschodu i północy z Hiszpanią — od północy w szczególności z prowincyą hiszpańską, która nosi taką samą nazwę, jak nasz zabór austryacki, gdyż zwie się „Galicya“.

Geograficznie i narodowo należy Portugalia właściwie do Hiszpanii, a jak kraj ten tworzy jeden z Hiszpanią półwysep, tak i naród portugalski jest w gruncie rzeczy częścią hiszpańskiego narodu.

Język portugalski jest całkiem podobny do hiszpańskiego i mniej się od niego różni, aniżeli rozmaite narzecza, czyli sposoby mówienia niemieckie od języka niemieckiego, a włoskie od włoskiego. Portugalczycy jednak uważają się za naród zupełnie osobny i od hiszpańskiego odrębny.

Portugalia oddzieliła się od innych prowincyi hiszpańskich, podczas walk z Maurami, w r. 1107. i odtąd osobne tworzyła państwo; prócz tego usposobienie Portugalczyków jest całkiem odmienne od hiszpańskiego. Hiszpan jest grzeczny, wesoły, towarzyski, romansowy, stroni od pracy, jest leniwy, lubi się bawić i chętnie próżnuje. Portugalczyk surowy w obejściu, chociaż grzeczny dla cudzoziemców, jest pracowity i zapobiegliwy, zimny i stosunkowo obojętny dla płci drugiej. To też nie dziw, że się Portugalczycy nie lubią z Hiszpanami.

Przy końcu XV i z początkiem XVI wieku, Portugalia była potężnem mocarstwem; prowadziła rozległy handel z zamorskimi krajami, a żeglarze jej słynęli z dokonania wiekopomnych odkryć geograficznych. W roku jednak 1580. król hiszpański Filip II. podbił Portugalię i zagarnął pod panowanie Hiszpanii. Odtąd przez lat 60, bo do roku 1640. Portugalczycy żyli w hiszpańskiej niewoli. Po roku 1640. odzyskali wprawdzie niepodległość, ale utracili znaczną część zamorskich kolonii swoich, w Ameryce i Indyach wschodnich. Handel ich, nauki i sztuki podupadły, naród zubożał.

W Portugalii, tak samo jak w Hiszpanii do początków XIX. wieku panował despotyzm, a nawet tak zwana święta inkwizycya trapiła ludzi. Zniósł ją dopiero w roku 1807. Napoleon I., cesarz Francuzów, opanowawszy chwilowo Portugalię. Później zaprowadzono w niej konstytucyę i rządy parlamentarne.

Portugalia dzięki położeniu swemu w strefie ciepłej, a zarazem nad morzem, jest bardzo miłym i urodzajnym krajem. Orzechy włoskie, kasztany jadalne rosną dziko po lasach, a winogrona i owoce południowe dojrzewają tam zarówno, jak przenica, żyto i inne zboża. Powierzchnia jej wynosi przeszło 1600. mil kwadratowych, jest więc o jedną ósmą część większa od naszej Galicyi, mieszkańców zaś liczy tylko 5 i pół miliona, czyli zaledwo dwie trzecie galicyjskiej ludności; mają więc Portugalczycy dosyć miejsca w swoim kraju. Prócz tego, nie licząc kolonii w Indyach wschodnich, posiada Portugalia olbrzymie obszary w Afryce, skąd mogłaby ciągnąć niemałe zyski. Przy dobrem więc gospodarstwie swego rządu, powinnaby Portugalia być krajem bogatym i szczęśliwym. Niema ona jednak szczęścia do władców swoich, to też panują w niej nędza i bieda.

Przedostatni król portugalski, Karol I. był próżniakiem, leniuchem i człowiekiem rozrzutnym. Nie dbał o dobro kraju i narodu. Bawił się tylko i hulał, rozrzucając pieniądze narodowe na wszystkie strony. Królowa, żona jego i syn, następca tronu Ludwik Filip, nie lepsi byli od króla co do rozrzutności. To też widok tej rozrzutności, wobec nędzy lud gnębiącej, wywoływał ogromne rozgoryczenie tak, że w r. 1908. utworzył się spisek, wskutek którego w jasny dzień, na ulicy Lizbony, stolicy Portugalii, zastrzelono króla Karola i następcę tronu Ludwika Filipa, a młodszego syna królewskiego Manuela, raniono w rękę.

Królewicz Manuel wyleczył się wprawdzie i zasiadł na tronie portugalskim, nie okazał jednak szczególniejszych zdolności do rządzenia krajem i nie umiał pozyskać zaufania, oraz miłości narodu. Owszem — tak wśród narodu, jak i wojska szerzyło się coraz więcej przekonanie, że lepiej będzie dla Portugalii, gdy stanie się rzeczpospolitą, rządzoną nie przez króla, tylko przez rząd narodowy.

Przekonanie to tak szerokie zakreśliło kręgi, iż w nocy z d. 3. na 4. października r. b. część wojska portugalskiego, stojącego w Lizbonie, porzuciła błękitno-białe chorą-

gwie królewskie i rozwinąwszy czerwono-zielone, uznane za szandary rzeczypospolitej portugalskiej, powstała przeciw królowi i rządowi królewskiemu. Kilka pułków pozostało wiernymi królowi, gdy jednak do powstańców przyłączyli się także marynarze okrętów wojennych, zajmujących port lizboński, po 36 godzinnej walce, zwolennicy rzeczypospolitej odnieśli zwycięstwo. Król Manuel II. uszedł z królową matką i babką na okręt angielski i odpłynął do fortecy angielskiej Gibraltaru, a następnie do Anglii, a Portugalię ogłoszono rzecząpospolitą.

Chwilowo sądzono, że ludność wiejska ujmie się za królem i wystąpi przeciw zwolennikom rzeczypospolitej — tak się jednak nie stało, lud uznał rzeczpospolitą, a obecnie uznały już ją inne państwa europejskie, a nawet papież i kościół katolicki.

Tak naród portugalski pozbył się rozrzutnego królewskiego dworu. Może rząd rzeczypospolitej, na którego czele stoją sami uczeni mężowie, potrafi lepiej prowadzić sprawy narodowe portugalskie. Powinno mu przyjść to tem łatwiej, gdy nie będzie miał wydatków na utrzymanie króla i jego dworu. Oby tylko potrafił utrzymać się w granicach prawdziwej wolności i nie zawichszył jej sporami religijnymi; bez swobody sumienia i religii bowiem, niema prawdziwej wolności. *Ostap.*

ROZSYPAŁY SIĘ TU ŁZY.

Rozsypały się tu łzy
Jak rosa po polu —
Niema komu ich pozbierać
Tych łez — pełnych bolu.
Ani mróz ich nie wypali,
Ani słońce nie wypije,
Wciąż się toczą z smutku fali
Wciąż się Polska niemi myje,
Bo wyciska je niewola
Ciężką dłonią swą...
Bo sierotom czarna dola —
Płaczą gorzką łzą. —

Rozsypały się tu łzy
Daleko — szeroko
I wpadają w serce ludu
Jak w ziemię głęboko —
Ni ich kwiaty nie zakryją,
Ni kłosy złociste
Wciąż się toczą — ziemię myją
Smutku łzy złociste, —
Bo zabrakło dawno szczęścia
Nad krainą tą,
Więc lud płacze, lud zgnębiony
Płacze gorzką łzą. —

Rozsypały się tu łzy
O! ciężkie jak bryły
I niejedno życie smutkiem
Żałobą okryły, —
Ale przyjdzie inne rano
Złociste — promienne,
Powybiera te łzy smutne
Ciężkie jak kamienne —
Wtedy zejdą nowe kwiaty
Nie pojone łzą
I rozsieją szczęście, wolność
Nad Ojczyzną mą.

Nie wszystko złoto co się świeci!

Lato było! Jechałyśmy we dwie z siostrą moją cioteczną do dość od naszej wsi oddalonego kościoła. Krewna tą moja — pierwszy raz dopiero była na wsi — przypatrywała się więc wszystkiemu z ogromną ciekawością i zajęciem. „Ach, jak te kobiety i dziewczęta miłe przez to, że tak niesłychanie czysto i schludnie ubrane“ — mówiła do mnie patrząc rozpromienioną twarzą na hoże i dorodne kobiety i dziewczęta naszej wioski ustrojone czysto — odświętnie — w spodnice ślicznie i starannie poskładane w fałdy – w jasne zapaski i śnieżnej białości — bogato wyszywane „nadkrywki“ (rodzaj szalów białych płóciennych, haftowanych ręcznie czarnym jedwabiem lub czer-

woną, albo granatową bawełną). Szale te – przeszło dwa metry długie, lekko zarzucone, ozdobną szpilką nad czołem do włosów przypięte — okrywają bardzo wdzięcznie postacie starych i młodych kobiet. Dziewczęta nie noszą „nadkrywek“. A już na widok koszul prześlicznie starodawnym haftem wyszywanych — rady sobie siostra dać nie mogła. Rzeczywiście, hafty kobiet w moich stronach są śliczne. Wzory tych haftów pochodzą jeszcze z czasów wojen szwedzkich, kiedy to ten nieprzyjaciel zalewał kraj nasz cały — łupił i obdzierał, a w zamian znowu — dziwnym trafem zostawił nam wzory swoich rodzimych robót kobiecych. Hafty te dostały się do nas — i pozostały i wsiąkły tak w pamięć praprababek, że zostawiły je one w spuściźnie wnukom i prawnukom i dziś każda z kobiet tutejszych umie bez żadnego wzoru – z myśli jedynie – rachując nitki, wyszywać śliczne arabeski na swoich prostych, szarych płótnach, z własnoręcznie uprawionego lnu uprzędzonych nici — przez ojca, brata lub męża w domu utkanych. Hafty te na szarem płótnie wykonane czarnym, grubym jedwabiem, wyglądają bogato i wspaniale, a także śliczne są wyszycia na szarem płótnie nicią lnianą ufarbowaną w odwarze z korzenia jabłoni. Nić taka ma kolor jasno bronzowy i wygląda bardzo ładnie i szlachetnie na tle szarej tkaniny.

Wszystko to opowiadałam swojej krewnej, a ona słuchała z wielkiem zajęciem.

— Jakże musi być u nich w chatach czysto i porządnie, kiedy one się tak czysto ubierają; pójdziemy tam kiedy — mówiła, a ja na to uśmiechnęłam się smutnie, a w sercu mojem zadrgał żywo żal, wywołany wspomnieniem różnych wypadków przeżytych razem z mojemi sąsiadkami — gdyż właśnie przez brak ładu, czystości i porządku wiele złego działo się po chatach i dzieje.

Przypomniałam sobie jakby to dziś było jak raz na wiosnę wczesną — w dzień zimny i słotny kopali u nas ludzie jamę na wapno. Kilka dziewcząt i kobiet kopało i wyrzucało ziemię mokrą – ciężką, a buty ich i spódnice obrane i oblepione były błotem i gliną. Stałam chwilę z niemi rozmawiając, ale wkrótce deszcz rozpędził nas, mnie do czystego i ciepłego domu, a je do ciemnych i brudnych chałup. Wieczorem dnia tego przybiegła do mnie zadyszana jedna z moich rannych robotnic, młoda kobieta, Ksenia, mająca jedną dziecinę — śliczną jak aniołek dziewczynkę. A co tam Kseniu? — spytałam. — Aj proszę pani – nie wiem co się stało — coś mi moja Nastusia chora. — Cóż jej jest — czy ma gorączkę? — Ej nie — ale tak ciągle wymiotuje, a oczka to jej tak niby kołem stają. — Powiedz mi prawdę Kseniu — mówiłam — może ty dziecko z rąk upuściłaś i rozbiło się, albo może ono spadło z ławy lub pościeli? Popatrzyłam bystro na nią i zobaczyłam, że stoi zmieszana. Powiedz mi, jak to było, to może prędzej coś poradzić będę mogła. I dowiedziałam się, że gdy dziecko siedziało w kołysce, matka poszła z konewką po wodę, zozstawiwszy samo dzieciątko w chałupie. Dziecko, które już zaczynało samo wstawać i brało się do chodzenia — przechyliło się z kołyski i spadło główką na dół w pustą miarkę z kartofli. Gdy matka wróciła z wodą do domu, z przerażeniem zobaczyła, że dziecka ani w kołysce, ani w izbie nie było. Dopiero ciche kwilenie z pod łóżka wskazało gdzie jest dziecina.

Biedactwo z główką w miarce zaczołgało się aż pod łóżko i tam, nie mogąc się już ruszyć dalej, piszczało żałośnie. Poszłam zaraz do chorej dzieciny — radziłam co mogłam: i okłady z lodu na głowinę i czarną kawę — nic nie pomogło — biedne dziecko wymiotowało co chwilę i toczyło błędnie oczkami, a usta miało sine jak bez.

Dziś jeszcze widzę to cudne liczko tak zmienione strasznie — te włoski kręte, jasne nad gładkiem czołkiem i tę całą drobną postać dziecięcą, okręconą w brudną, mokrą oblepioną gliną tę samą spodnicę,

którą matka rano w ten sam dzień miała na sobie u nas na robocie. Spódnica ta tworzyła w kolebce odrazu i poduszkę i okrycie, a całość była okropnie brudna i wierzyć się nie chciało, żeby matka mogła być tak niedbałą i nieczystą. I w tem leżało umierające dzieciątko! Gdym nazajutrz przyszła zobaczyć co się dzieje — dzieciątko już skonało. A skonało jedynie przez niedbalstwo i niedozór matki. Stałam smutno zamyślona nad strasznym widokiem, nagle ktoś się odezwał tuż koło mnie: — Ta możeby pani i do nas zaszła — coś nasza Marysia znowu gorzej chora. — Spojrzałam ostatni raz na biednego skazanego na śmierć aniołka i wyszłam z ciężkiem sercem z chaty. Marysia, do której szłam, była to dwuletnia dziewczynka — moja córeczka chrzestna — dziecko zdrowe — żwawe — czarniutkie, drobne, z oczyma dużemi czarnemi i takiemi włoskami. Dziecko to przeziębili — bo u sąsiadów były chrzciny i matka wzięła je z sobą. W izbie było gorąco — dziecko na piecu rozparzyło się — a gdy je potem wyniosła matka w nocy rozgrzane i źle owinięte — zachorowało na zapalenie płuc. Przed paru dniami byłam u niej z doktorem, który wypadkiem zjawił się u nas bardzo w porę — robiłam wszystko, co on polecił i dziecku było coraz lepiej. Zastałem je leżące w gorączce — robiące ciężko piersiami — z oczkami szklistemi — prawie bezprzytomne. Cóż wy zrobili z dzieckiem — przecież wczoraj jej było całkiem dobrze, mówiłam z żalem niezmiernym. — A to proszę pani, widziało nam się, że dziecko już zdrowe, taj my ją już dziś skąpali — opowiadała mi spokojnie matka Marysi. Załamałam ręce: czyż wam nie mówił doktor czyż ja was nie prosiłam, że ani myślcie o kąpaniu dziecka póty — póki wam sama na to nie pozwolę? — Ta cóż — taka już wola Boska — mówiła cicho głupia kobieta, a tymczasem jej dzieciątko, podchowane — śliczne, umierało, a umierało jedynie przez głupotę i niedbalstwo własnej matki. Mimo moich starań umarła dziewczynka, a w parę dni potem w śliczny wiosenny ranek — kiedy się wszystko rwało do życia — gdy ptaszki śpiewały robiąc sobie gniazdka — gdy trawki wystrzelały zielonemi piórkami z ziemi — kiedy słoneczko miłosiernie obejmowało ciepłemi promieniami każdy zakątek ziemi — w tejże ziemi na cmentarzu czerniały dwa doły, czekające na dwie niewinne ofiary — dwa kwiatuszki cudne, aby je pochłonąć i zakryć przed oczyma ludzkiemi na wieki.

Stałam w oknie otwartem i płacząc gorzko myślałam sobie: kiedyż, ach kiedyż rozjaśnieje światło w sercach i głowach tych ludzi — kiedy — kiedy — —

A tymczasem przez wieś toczyły się powoli dwa wozy z trumienkami — przeszło dwie gromadki ludzi i życie znowu szło na wsi po dawnemu — —

Wszystko to sobie pomyślałam, jadąc wolno w piasku i gorącu do dość oddalonego kościółka — a zamyśliłam się tak głęboko, aż krewna moja spojrzawszy na mnie, zapytała czego tak posmutniałam. Nie rzekłam nic, tylko westchnęłam cicho.

Cóż z tego, że skrzynie gospodyń pełne płótna i haftów — cóż z tego, że ich „chusty kościelne“ piękne, czyste i jedwabiem szyte, cóż z tego! Kiedy w ich chatach brudno — nędznie, czarno — kiedy ich dzieci i one same po tygodniu nieczesane — kiedy nie dbają o porządek koło domu, siebie i swoich, kiedy tak trudno — tak strasznie trudno pozwalają się czegoś nauczyć i tak strasznie nie chcą uwierzyć ani w radę doktora — ani życzliwej osoby — kiedy nie chcą uwierzyć że „czystość“ jest połową zdrowia i że dzieci wymagają więcej starania i troski jak cielę, gąsie lub prosiak — —

Wszystko to myślałam sobie — ale nie mówiłam nic mojej krewnej — nie chcąc jej zniechęcać do ludu — o którym miała tak dobre wyobrażenie.

Jadwiga Szegdzińska.

ROZMAITOŚCI.

Ku czci Szopena. Stuletnią rocznicę urodzin największego muzyka i twórcę pieśni polskich uczciła stolica kraju wspaniałymi koncertami i obchodami, które trwały prawie cały tydzień. Do Lwowa zjechali najwybitniejsi muzycy, mistrzowie gry na skrzypkach i fortepianie, oraz śpiewacy dla wykonania przepięknych utworów wielkiego mistrza. Między innymi przybył także mistrz Paderewski z żoną, którego przyjęto z nadzwyczajną serdecznością. Paderewski przemawiał kilkakrotnie i dowiódł przytem, że jest taksamo niedoścignionym mówcą, jak doskonałym muzykiem artystą.

Dziewicze lasy Jawy. Wyspa Jawa, której rozległość równa się obszarowi Królestwa Polskiego, jest w jednej trzeciej pokryta lasem dziewiczym, większą część wyspy zajmują plantacye, stepy i ogołocone z lasów góry, a tylko na niewielkiej stosunkowo przestrzeni, nadającej się do uprawy ziemi osiedliła się ludność tamtejsza w ilości 28 milionów mieszkańców. Zaludnienie to jest jednem z najgęstszych na świecie, gdyż zamieszkany obszar równa się jednej trzeciej Królestwa, liczącego około 12 milionów mieszkańców. A mimo to ludność tamtejsza nie cierpi nędzy, ponieważ ziemia nadająca się pod uprawę jest niezwykle urodzajna.

Niezmiernie bujna jest roślinność tej wyspy. Warunkami koniecznymi do rozwoju roślinności są: ciepło, gleba żyzna i wilgoć. Na Jawie istnieją w całej pełni wszystkie te trzy warunki. Ciepłota jest wysoka, a waha się między 23° a 52°.

Wilgoci ma także Jawa pod dostatkiem. Powietrze tamtejsze jest nią dostatecznie nasycone. Dodajmy do tego pulchną urodzajną glebę, a wtedy nie będziemy się dziwić wybujałej roślinności Jawy.

Dziewiczy las jawański jest wspaniały i różnobarwny. U nas w Europie las występuje jednolicie; stanowi jeden gatunek drzew lub najwyżej kilka i nie ma innej barwy nad zieloną. Tam las — to prawdziwa mozaika pod względem samej barwy. Obok zielonych drzew widzieć można śnieżno-białe, płomienisto-czerwone itd. Różna jest także wielkość drzew jawajskich. Obok niskich sterczą dumnie w górę drzewa o 60 a nawet 70 metrach wysokości, czyli wyższe od wieży kościoła Maryackiego w Krakowie.

Brzeg lasu jest gęsty i zbity tak, że trudno jest dostać się do wnętrza. Na brzegach lasów gęste krzaki zagradzają człowiekowi drogę. Na krzakach tych umieściły się w niezwykłej liczbie dokuczliwe osy i muchy Człowiek, chcąc dostać się do wnętrza, musi właściwym nożem malajskim torować sobie drogę.

We wnętrzu tych lasów panuje ciemność, gdyż promienie słońca prawie zupełnie tam nie dobiegają. Wyjątkowo tylko w pewnej części lasu, w której jakieś drzewo olbrzymie runęło i pociągnęło za soba sąsiadów — jest jasno. Człowiek ulega oszołomieniu. Taka tam rozmaitość barw i gatunków roślin, jakiej się u nas nigdy nie zobaczy.

Drzewa wysokie nie mają tak licznych gałęzi, jak nasze — mają tylko grube i wielkie konary w małej liczbie. A mają je także dlatego, że w tym lesie żyje olbrzymie mnóstwo pasożytów, iż trwa tam ciągła i zacieta walka o byt. Na potężnych konarach drzew osadzają się rośliny, które bez słońca żyć nie mogąc, nie potrafią rozwijać się na spodzie lasu. Pragną słońca i dlatego pną się na konary drzew.

Konary drzew są niejako powiązane ze sobą i tworzą t. zw. małpie mosty, stąd tak nazwane, że małpom dogodnie przechodzić.

Las dziewiczy nigdy nie śpi. Trwa tam ciągłe życie, ciągły gwar. W lesie żyją roz-

maite zwierzęta, które ciągle śpiewają. Są tam nawet śpiewające owady, które wydają głosy cienkie a ostre, podobne do gwizdka fabrycznego. Żaby tropikalne wydają głos podobny do uderzenia w beczkę lub w drewniany sygnałowy dzwon jawajski.

W pewnych częściach lasu, szczególnie na nizinie nadmorskiej, słychać jeszcze jeden głos szczególny, głos węża, podobnego do węża boa. Głos jego podobny jest do dźwięku metalowej czary i odzywa się tylko 2 lub 3 razy.

Najrozmaitsze ptactwo krzyczy i śpiewa, a nad całem bogatem królestwem panuje niebezpieczna czarna pantera.

Czasami w tym dziwnym, pomieszanym koncercie następuje nagła przerwa i dziwna cisza zalega cały las. Dlaczego się to dzieje, jest rzeczą niewytłumaczoną. Dość, że przez jąkiś czas słychać tylko lekki plusk wody, która z przepełnionych wilgocią drzew sączy się z powrotem do ziemi. Przerwa taka robi na człowieku wielkie wrażenie, szczególnie w porze nocnej. Krajowcy w nocy nigdy nie zapuszczają się w las dziewiczy, bojąc się tego osobliwego świata i dyabłów, którzy według ich pojęć mają tam swoje legowiska.

Niebezpieczeństwo życia dla człowieka, zapuszczającego się w las jest bardzo poważne. Czyhają na niego rozmaite zwierzęta, jak węże jadowite, jaszczurki, pijawki itd., nawet rośliny, które parzą w sposób znacznie dokuczliwszy od naszej pokrzywy. Człowiek, zapuszczający się w głąb lasu, musi być prócz broni i odpowiedniego ubioru, uzbrojony w niezwykły spokój ducha i wydoskonalony zmysł spostrzegawczy.

O Niemcu, co mu ząb wyjęto.

Kupiec posłał swojego pisarza do Włoch przyjechał do Trewiza, jeść mu się chciało, pyta, po niemiecku, gdzieby była niemiecka gospoda ale iż żaden nie rozumiał, co mówił, dopytać się nie mógł. Trafił na Niemca prosi go, aby mu gospodę ukazał. Każe mu Niemiec w jednę ulicę iść: „tam ujrzysz nadedrzwiami orła czarnego na drągu". A na tamtej ulicy balwierz mieszkał, który był na ten czas miednice pozdejmował z drąga, tylko wisiał herbik (jako to pospolicie bywa), na którym czarny orzeł namalowany był. Niemiec mniemając, by to tam gościnna gospoda była, wnidzie. Balwierz go pyta po włosku, czegoby chciał, jeśli myć albo golić. Niemiec, iż po włosku nie umiał, ukazuje do gęby, iż jeść chciał. Włoch spodziewając się iż go ząb bolał, kazał mu na stoliku sieść, wziąwszy kleszczyki i inne instrumenta do tego, każe go trzymać balwierczykom dwiema. Niemiec się wydziera, a Włoch, że to dla bolu czynił, tak mniemał; rozpiąwszy mu gębę instrumentem, iż się nie mógł z nim zmówić, któryby go ząb bolał, wyjął mu co był trochę poczerniał. Poszedł Niemiec, a Włoch się zapłaty upominal. — Pięknie Polacy mówią:

Pół człowieka
Przez języka.

Babski wybór.

Byli w jednej wsi gazdowie bardzo bogaci, mieli syna jedynaka i chcieliby go byli strasznie dobrze ożenić. Ale wybór był trudny, bo się dziewki pchały jedna przed drugą, i każda swoje cnoty przedstawiała.

Aż raz powiada baba do chłopa:

— Wies, Wojtek, tak nie zrobimy, nie.. Nie poznas cłowieka, ino wtedy kiej nie wie, ze na niego patrzys. Oblec się za dziada i pomiędzy chałupy idź — wtora cię dziewka nolepi obdarzy, z tom nasego Kubę ozenime. Bedzie nolepsa.

Zwidziało się to chłopu, ta babska rada, wdział starą czuchę, łatane portki, wziął na plecy torbę, w rękę kij i poszedł. Rzekomo dziad.

Idzie pomiędzy chałupy, chodził cały dzień, wrócił wieczorem i siada na ławie zmartwiony, a gębę miał z jednej strony spuchniętą.

— No cóz? — pyta się go baba. — Wtóraz ci się na niewiastę udała?

— He — powiada chłop — obiór trudny. Zasełek ku piersej: dała mi spyrki, zasełek do drugiej: dała mi obrazek świencony; zasełek ku trzeciej: wyprała mi kosule — cos teros wies? Jedna scodra, druga nabozna, trzecia robotna — syćke dobre.

— Hm — mruknęła baba. — Juści ze odbiór trudny... Ale coz ci to, co mas gębę spuchnionom?

— E to nic, ani gwary nie warce. Zasełek ku cwartej, dała mi w pysk — powiada chłop.

A baba jak nie skoczy z ławy, jak nie krzyknie:

— E, głuptaku jeden! Nie gadas nic? i jeszcze medetujes. Jedy to tak, jakby ci sam Pan Jezus Przenajświętsy z nieba palcem pokazał! *Kazimierz Przerwa-Tetmajer.*

Kraj bez alkoholu. Od 1 lipca 1910 r. ma w Finlandyi obowiązywać ustawa następująca: Wyrób i sprzedaż spirytusu są dozwolone tylko dla celów lekarskich, technicznych i naukowych i stanowią monopol państwa. Ze składów państwowych spirytus może być sprzedawany tylko aptekom, oraz szpitalom i instytucyom naukowym, które otrzymają na to pozwolenie senatu, fabrykom i zakładom przemysłowym na wyrób likierów, perfum itd. Z aptek spirytus może być wydawany tylko za specyalną receptą lekarską. Sprzedaż spirytusu denaturowanego do palenia nie podlega żadnym ograniczeniom. Za wykroczenie przeciwko ustawie, jako to: za sprzedaż bez pozwolenia, przywóz, wyrób lub destylacyę spirytusu, ustanowiono kary od 125 K., lub dwu miesięcy więzienia. Przy powtórzeniu wykroczenia, kara może być zwiększona do 6 miesięcy a nawet do czterech lat więzienia.

Nauka rolnictwa dla żołnierzy. W niektórych garnizonach obrony krajowej mają być zaprowadzone wykłady o rolnictwie. Nauka odbywać się będzie raz albo dwa razy w tygodniu. Obejmować zaś będzie najważniejsze wiadomości o ziemi i jej uprawie, o narzędziach rolniczych, o nawozach sztucznych, o hodowli bydła, i pouczenia o kasach rejfeisenowskich, o spółkach zarobkowych i t. p. Nauki udzielać będą siły fachowe. Kursa także odbywać się będą w kraju naszym, na razie tylko w Stryju i we Lwowie. Oby tylko nasi żołnierze z nauki tej korzystać chcieli jak najliczniej, chociaż nauka nie będzie przymusową.

Do szkół ludowych i wydziałowych w Galicyi zapisało się na bieżący rok szkolny 14.817 dzieci (6798 chłopców i 8019 dziewcząt) rozdzielonych na 300 klas. Oprócz tego do szkół prywatnych zapisało się 2027 dzieci (417 chłopców i 1610 dziewcząt). Co do wyznania jest: 12.776 dzieci rzym. kat., 58 grec. kat., 48 ewangielickich i 3962 żydowskich.

Katastrofa żywiołowa we Włoszech. W nocy z niedzieli na poniedziałek nawiedziła niszcząca burza z oberwaniem chmur całą okolicę Wezuwiusza we Włoszech w znacznym okręgu, wyrządzając olbrzymie szkody, nie szczędząc również życia ludzkiego. Wprawdzie pierwsze wiadomości o klęsce były przesadzone, ale mimo to rzeczywiste, choć mniejsze, rozmiary klęski wystarczają, ażeby ją nazwać katastrofą. Ucierpiały zwłaszcza prześliczne okolice Neapolu i Salerna, tudzież urocza wyspa Ischia. Orkan zerwał w Neapolu dachy z trzech domów, zburzył mnóstwo kominów, wiele dachów uszkodził częściowo, wogóle zrywał i rzucał wszystko, co nie miało dosyć siły, ażeby się oprzeć szalonemu prądowi. Gdy burza nieco ucichła, nastąpiło oberwanie chmury, a chwilowa powódź wyrządziła olbrzymie szkody. W samem mieście wybuchnął w czasie burzy pożar w czterech punktach miasta. Pożar spowodowały pioruny. W szeregu miast dotkniętych katastrofą żywiołową, Neapol najmniej ucierpiał. Wiele ucierpiała miejscowość Casamicciola. Ogromne masy wody wtargnęły do tej miejscowości i zniszczyły dzielnicę Rita. 9 osób zginęło w falach. Mieszkańcy, którzy uciekli z Casamicciola, opowiada-

ją straszne szczegóły o katastrofie. Orkan był tak gwałtowny że wśród ludności zapanował przestrach. Jeden z nich opowiadał, ze podczas ucieczki widział 14 zwłok i sądzi, że jeszcze wielu ludzi leży pod gruzami. Na górze San Nicola, gdzie wiele osób się schroniło, znajdują się całe rodziny w politowania godnym stanie. Wszystkie zakłady kąpielowe w Casamicciola są zniszczone. Dwanaście osób, które się właśnie kąpały, nie zdołały uciec i zostały przez fale morskie porwane. Namuł, naniesiony przez morze, leży 8 metrów wysoko. Najbardziej dotkniętą została miejscowość Cetara, gdzie zginęło około 200 osób. Wzdłuż całego wybrzeża Amalfi powódź wyrządziła znaczne szkody. Dokładnych wiadomości brak z powodu przerwy w połączeniach telefonicznych i telegraficznych. Wszędzie, gdzie cyklon szalał miejscowości zostały po części zniszczone i także wiele osób zginęło. O powodzi na wyspie Ischia (Iskia) dowiedziano się w Neapolu za pośrednictwem pewnego policyanta, który z narażeniem życia przybył tutaj na czółnie z wyspy. Na wyspę wysłano 2 parowce z pionierami. Prace ratunku są bardzo utrudnione z powodu namułu, który morze naniosło i z powodu przerwanej komunikacyji.

Zabezpieczenie róż na zimę. Od p. Robinsona inspektora plantacyi miejskich otrzymujemy następujące pismo z prośbą o podanie tegoż do wiadomości mieszkańców naszego kraju: Ponieważ w roku obecnym rozmnożyły się bardzo myszy, należy róże zabezpieczyć na zimę przed niemi w ten sposób, by nie zawijać w słomę jak to się też zwykle u nas praktykuje, lecz zawijać tak sztam jak i koronę róży przed nakryciem ziemią, jałowcem, a w braku tego smereczyną szpilkami na dół, by mysz nie mogła się dostać do korony. Stwierdzono bowiem przed laty siedmiu, kiedyto myszy poniszczyły wielką ilość róż i drzewek owocowych, że robią one sobie tunele od korzenia i obgryzają szyjkę korzeniową, a w braku dalszego pożywienia po sztamie idą do korony.

Najważniejsze przepisy hygieniczne. W szkołach Polskiej Macierzy Szkolnej w Królestwie Polskiem we wszystkich kajetach miała dziatwa wydrukowane następujące przepisy:

1. Myj ręce wodą z mydłem kilka razy dziennie, zwłaszcza zaś przed każdem jedzeniem; twarz, szyję i górną część tułowia myj rano i wieczorem, paznogcie czyść szczoteczką.

2. Zęby czyść szczoteczką i proszkiem po obiedzie i wieczorem; rano płucz jamę ustną wodą.

3. Paznogcie obcinaj dwa razy na tydzień.

4. Bieliznę zmieniaj dwa razy na tydzień, na noc zmieniaj koszulę.

5. Kąp się przynajmniej raz na dwa tygodnie.

6. Głowę zmywaj co dwa tygodnie, czesz włosy gęstym grzebieniem i szczotką.

7. Jedz powoli, żuj dokładnie pokarmy, po obiedzie z pół godziny spocznij.

8! Nie pij nigdy wódki, piwa, wina, mocnej herbaty, mocnej kawy, za napój używaj czystej wody, lekkiej herbaty lub mleka. Nie pal nigdy tytoniu.

9. Pokój sypialny przewietrzaj często, a zwłaszcza przed pójściem spać.

10. W wieku do lat 10 sypiaj od 8 wieczór do 7 zrana.

Od lat 10 do 12 sypiaj od godz. 9 wieczór do 7 zrana.

Od lat 12 do lat 15 sypiaj od godz. $9^1/_2$ wieczór do 7 zrana.

Po 15 latach sypiaj od godz. $10^1/_2$ wieczór do 7 zrana.

11. Układaj się do snu najlepiej na prawym boku, trzymając ręce na kołdrze.

12. Przy pracy siedź prosto; pisząc, trzymaj lewe przedramię na stole, obydwa barki poziomo, głowę prosto, oczy w odległości pół łokcia od książki lub kajetu. Światło (okno, lampę) miej przy pracy z lewej strony, lampę trzymaj zdala od głowy, by ją chro-

nić od gorąca. Nie czytaj, nie pisz o zmroku.

13. Oddychaj nosem! piersi naprzód! głowa do góry!

14. W chwilach wolnych używaj ruchu na świeżem powietrzu.

Co czynić, aby być zdrowym w zimie? „Bóg w dom, gość w dom" głosi stare polskie przysłowie. Polak każdemu chętnie drzwi otwierał, nieraz takim, co najmniej warci byli, niegościnnie tylko zamykał drzwi przed zimą. Zimie przypisują ludzie różne choroby i inne niebezpieczeństwa. A jednak niesłusznie; zima, jak oszczędna, a chłodnych pozorów gospodyni, nie wystawi wprawdzie przysmaków i kwiatów na przybycie gości, ale dzięki jej zabiegliwości niejeden będzie mógł pożywić się wtedy, gdy wiosna ze swym paziem przednówkiem i rozpustne lato, z psującem wszystko gorącem, niejedno niszczyć będzie. Zima nietylko daje nam możność przyrządzenia konserw mięsnych i zapasów lodu, tak niezbędnego w okresie upałów, ale daje też możność zahartowania i przymnożenia zdrowia Ci wszyscy, co wyrzekają, że zimą nabawili się kataru chronicznego, reumatyzmu, lub wysypkowej choroby, muszą powiedzieć sobie, że nie umieli korzystać z dobrodziejstw zimy i że ta zemściła się na nich za niegościnne przyjęcie. Przed zimą nie trzeba zamykać okien; przeciwnie w sypialni łóżko powinno stać zdala od okna w miejscu przewiewnem, pokój powinien być dobrze ogrzany, ale zato okno powinno być uchylone przez całą noc, aby zamiast oddychać powietrzem zepsutem, przesyconem kwasem węglowym, płuca mogły wciągać powietrze wolne od wszelkich mikrobów, czyste i ożywcze; będą się hartowały one odpowiednio, a krew odświeżała. To samo można powiedzieć o ślizgawkach i spacerach zimą, które nie utrudzając, dają organizmowi pokrzepienie. Używajmy przyjemności tych z umiarkowaniem, wyprowadzajmy dzieci ciepło ubrane choćby na największe mrozy, a z pewnością zima korzystny wpływ wywrze w naszym organizmie.

O owej potrzebie zachowania miary właściwej nigdy zawiele przestróg, zwłaszcza w zapustach. Aż serce nieraz boli patrzeć na młodzież wymizerowaną, która po kilka nocy z rzędu spędza na tańczeniu do białego dnia, a powtarza to się często przez styczeń i luty. Wiele dałoby się poczynić zastrzeżeń co do pedagogicznej wartości takich zabaw. Skoro jednak wszelkie nawoływania w tym względzie to „groch na ścianę", to niechże te zabawy taneczne zaczynają się popołudniu, a kończą przed północą. Młodzież wyniesie tę samą sumę przyjemności, a nie wyrządzi krzywdy swemu zdrowiu.

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Rady gospodarcze na listopad i grudzień.

Rok gospodarski ma się ku końcowi, zatem wszystkie prace polne, chociażby ze względu na porę i pogodę, powinny być już także skończone. Zły to gospodarz, który tego o swojem powiedzieć nie może — nie długo patrzeć, a może, zamiast swego zagona, cudzy obrabiać będzie. Wyjątkowo tylko kończyć ostatnie orki i przygotować rolę pod wiosenny siew owsa. Kończyć także roboty koło kopców, zaglądać na doły z paszą i nie dopuszczać do tworzenia się dziur i szpar w ziemi, którą są przywalone, bo łatwo można w ten sposób narazić cały skład paszy na zepsucie i zniszczenie. Gdzie w piwnicach złożono kartofle — oczywiście same dobrze dojrzałe – albo kapustę i t. p. opatrzyć okienka i drzwi, ażeby zabezpieczyć je przed silnymi mrozami. Młócić zboże, słomę obracać na paszę i podściółkę dla bydła. Bydło robocze trzymać na dobrym potrawie, żeby do sił przyszło, a później udzielać mu regularnie zdrowej paszy, którą w ten sposób rozdzielić należy, ażeby i bydło sobie

należycie pojadło i paszy nie brakło. Jeśli potrzeba, to dokupić paszy albo pozbyć się jednej sztuki, a pozostałe żywić dobrze i pod żadnym warunkiem nie głodzić. Dbać o dobrą podściółkę, a w ostatecznym razie grabić liście na podściółkę. Stajnie dobrze przewietrzać. Trzodzie chlewnej dawać brukiew i żołądź, której teraz podostatkiem. W sadzie sadzić pestki, przygotowywać doły do wiosennego sadzenia, przesadzać młode szczepki, potem je opatrzyć i owinąć słomą; zresztą jak w miesiącu poprzednim. W pasiece ulom dać zagatę. Zbierać jagody jałowcowe na lekarstwo dla owiec i bydła. Zaasekurować zbiory z uwzględnieniem omłotu i wyprzedaży zboża. Kończyć podorywki jesienne, a gdy nastaną silniejsze przymrozki, pochować narzędzia rolnicze pod dach, aby nie gniły. Gnoje wywieźć i przyorać. Sadzić drzewka w lasach. Zbierać nasiona jesionu, grabu, olszyny. W tym miesiącu rozpoczynają się cięcia w lesie. Młócić zboże. Pospuszczać wody z pól ozimych, koniczyn i podorań.

Kalendarz gospodarski. Grudzień śniegiem już przeważnie ziemię otula, więc i roboty w polu stają. W dnie cieplejsze wyglądać jednak na pole, a gdy odwilż, zbadać, czy woda na polach nie stoi. Gdyby się utworzyły większe kałuże, poprawić albo pokopać wodnice celem odprowadzenia wody. Przygotować drzewo na opał i budulec; jeżeli drogi dobre — wozić, a jeżeli kiepskie, to poczekać lepiej do dobrej sanny, chyba że potrzeba nagli. W stodołach młocka na dobre. Zaczynać trzeba od zboża, co stojąc na dworze w stertach, brogach i t. p., narażone jest na zmiany powietrza, potem dopiero brać się do tego, co złożone w gumnach. Na ostatku młócić na nasienie! Każde zboże, czy ono na sprzedaż, czy na własne potrzeby, czy na nasienie — czyścić jak najstaranniej, zwłaszcza to ostatnie, bo źle oczyszczone ziarno zanieczyszcza i zachwaszcza tylko pole, a plon daje kiepski. Nie żałować grosza na zakupno dobrych młocarek, a gdzie zasoby jednego gospodarza za szczupłe, zakupić młocarkę na spółkę, chociażby w kilkunastu; dobra młocarka szybko i dobrze zmłóci i wróci z nakładem pieniądze, wydane na jej zakupno. Zresztą praca jak w listopadzie, przyczem szczególnie polecamy pamięci gospodarzy obory.

Maciory prośne dobrze karmić. Wieprze dotuczać zbożem. Drzewka w ogrodzie zabezpieczyć od mrozów i zajęcy obwiązaniem słomy. Zwozić materyał budowlany i sążni z lasu. Wogóle z nstaniem robót w polu inwentarza żywego używać do wywózki szlamu, marglu, kompostu i innych nawozów, które w porządnem gospodarstwie zawsze powinny być w zapasie.

Oby na snopek, rościelony na waszym stole przy wigilijnej wieczerzy, spłynęło błogosławieństwo Boże i stokrotnie pomnożyło kłosy, które się w nowym roku chylić będą na waszych zagonach.

Przysłowia i przepowiednie ludowe. W listopadzie grzmi – rolnik wiosnę śni. Gdy w listopadzie od południa grzmi – ma to wróżyć zły rok i niepłodność wszystkiego.

Wszyscy Święci gdy jasnością nas uraczą — a zaduszki nie popłaczą, Marcin też nie posiwieje — wówczas, bracie, miej nadzieję, że w Ofiarowanie masz piękne zaranie — na Niepokalaną rzeki nam nie staną, a tak do Wilii nato — dotrwa babie lato.

Wiatr od południa w wilią św. Marcina (10-go) — pewnie będzie lekka zima.

Gdy św Marcin w śniegu przybieżał – będzie po pas całą zimę w nim leżał.

Kiedy na św. Cecylią (22-go) grzmi — rolnik o dobrym roku śni.

O świętej Katarzynie (25-go) – pomyśl o pierzynie.

Grudzień ziemię grudzi — a izby wystudzi.

Mroźny Grudzień i wiele śniegu – żyzny roczek będzie w biegu.

Gdy na świętą Barbarę (4-go) błoto — będzie zima jak złoto.

Wigilia (24-go) piękna, a jutrznia jasna — będzie stodoła ciasna.

Co czynić zimą w spiżarni? Ustało gromadzenie zapasów do śpiżarni i piwnicy należy tylko doglądać, aby zapasy, z takim trudem przyrządzone i nagromadzone, nie uległy zepsuciu. Trzeba więc w piwnicy, przy pierwszych zaraz mrozach pozatykać, czy opatrzyć okienka, drzwi zaś jeśli wprost prowadzą na dwór, obić matami słomianemi, albo rogożą.

Jarzyny, poukładane w kopczyki, co pewien czas przebierać i usuwać sztuki nadbolałe. Kapustę w beczce raz na tydzień obmyć, albowiem od czystości zależy jej smak i jędrność.

Jeżeli śpiżarnia znajduje się w miejscu nazbyt na działanie słońca wystawionem, trzeba w czasie mrozów zachować pewne ostrożności. Butelki z płynami łatwiej zamarzają, niż konfitury w słoikach i butelka nie rzadko ulega rozsadzeniu. Toż samo dzieje się z marynatami w occie. Trzeba je więc na czas mrozów usunąć w cieplejsze miejsce.

Masło i śmietanę strzedz od zamarznięcia, ponieważ tracą na smaku. Jaja zmarznięte łatwo pękają. Włożyć zmarznięte w zimną wodę i pozostawić w niej czas dłuższy. Skorupka wtedy pokryje się lodem, a jajko pozostanie czyste, niezmącone.

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia, a z niemi zaczynają się znów dla gospodyń kłopoty i kręcenie około kuchni, ciasta i pierniki same w domu przyrządzają.

Wszelkie gatunki ryb można oskrobać, oczyścić i nasolić, w przedzień ich użycia.

Zupa mieszana. Pół litry krup perłowych albo jęczmiennych gotuj w litrze wody tak długo, aż się krupy dobrze ugotują. W osobnym garnku ugotuj $1/4$ litra fasoli na miękko i osobno 10 sztuk obranych w kostkę pokrajanych ziemniaków. Gdy kasza już miękka, daj do niej łyżkę masła lub smalcu i ucieraj kaszę łyżką. Dolej jeszcze 3 litry gorącej wody, dodaj odcedzonej, ugotowanej fasoli i ugotowanych ziemniaków, zamieszaj wszystko razem i zaraz podaj. Wystarczy na 6 osób.

Gulasz barani. Mięso z dwóch łopatek baranich pokraj na małe kawałki, ale pierwej obkrój z nich łój. Do garnuszka kamiennego nalej pół szklanki octu, dodaj 1 listek bobkowy, 5 ziarnek pieprzu prostego i angielskiego, zagotuj razem i tym wrzącym octem polej po pokrajanej baraninie. Potem dodaj do mięsa łyżkę smalcu, postaw na gorącej kuchni i duś pod pokryciem, często dolewając po 2 łyżki zimnej wody, by mięso skruszało. Gdy mięso już miękkie, zrumień je i zapraw $1/2$ litrem kwaśnej śmietany, lub śmietanki albo mleka, w czem rozbij poprzód łyżkę mąki. Zgotuj i podaj z ziemiakami.

Kluski kładzione. Przesiej na miskę 1 kilogram mąki pszennej i wlej tyle wody, by ciasto było tej gęstości co klajster. Dobrze ubij łyżką, by ciasto aż pęcherze dostało. Gdy woda zakipi, posól ją i na gotującą się wodę kładź łyżką kluski średniej wielkości. Gdy kluski kilka razy zakipią spłyną, wyjm jedną kluskę, przekrój i spróbuj, czy już ugotowana. Gdy kluski już gotowe, odcedź wodę, kluski wyjmij na miskę, polej usmarzoną słoniną lub roztopionym smalcem lub masłem, posyp tartym serem, wymieszaj i podaj. Wystarczy na 6 osób.

Mięso, przygotowane na pieczeń, jeżeli jest twarde i włókniste, należy skropić octem na kilka godzin przed użyciem. Ocet rozmiękczy włókna a pieczeń prędko się upiecze i będzie krucha.

Sosy. Podstawą sosów jest zasmażka ciemna lub jasna z łyżki masła albo smalcu z troszką mąki. Takie tylko sosy mogą być dobre i zawiesiste. *Józefa Kruszyńska.*

Utrzymanie kur w zimie. Racyonalny hodowca kur musi do tego dążyć, ażeby jego kury niosły się w takim czasie, kiedy jaja najlepiej są płacone. Bardzo często jednak dają się słyszeć narzekania: Moje kury zaczynają się nieść późno, tj. wtenczas, gdy jaja zaczynają być tańsze, pomimo, że kury były dobrze żywione, a i na cieple im nie

zbywało. Nie da się zaprzeczyć, że są to dwa główne warunki w racyonalnej hodowli kur, atoli nie są one wystarczające, ażeby w najzimniejszych miesiącach pobudzić kury do obfitego znoszenia jaj. Rozpatrzmy się przeto bliżej w środkach, których zastosowanie wpłynie na powiększenie dochodu z hodowli kur.

1. W jesieni, w czasie pierzenia się, (tj. wypadania pierza) należy je żywić obficie, ażeby przez to ułatwić porost nowego pierza, a także mięsa i tłuszczu. Właśnie w tym czasie, kiedy kura nie daje nam żadnego pożytku, albo tylko bardzo mały, musi ona być bardzo dobrze żywiona. Wiele gospodyń jest jednak odmiennego zdania i podczas pierzenia się swoich kur, żywią je nietylko oszczędniej co do ilości zadawanej karmy, ale i jakość tejże często w tym czasie jest nieodpowiednią.

Zwykle daje się kurom raz karmę miękką t. j. kartofle gotowane, wymieszane z dodatkiem otręb parzonych, odpadki kuchenne wszelkiego rodzaju, okruszyny chleba itp., wreszcie w poludnie i na noc ziarno pszenicy, jęczmienia, owsa lub kukurydzy. Ziarna wszelkiego rodzaju skarmia się w stanie suchym z wyjątkiem jednego owsa, który powinien być poprzednio moczony, gdyż suchy kury niechętnie spożywają. Takie żywienie kur, jak się wyżej przytoczyło, musi się uznać jako dobre, a jednak nie jest ono wystarczającem, jeżeli chcemy wpłynąć na obfitszą nośność kur w miesiącach zimowych.

Jest rzeczą udowodnioną, że zielenina nie tylko korzystnie działa na zdrowie kur, a także i na jakość znoszonych jaj, ale wpływ zielonej karmy bardzo korzystnie wpływa na wczesną nośność kur. Zielona karma może być w zimie w najrozmaitszej postaci podawaną, i tak: buraki, ścierniska, (rzepa) posiekane, z chciwością pożerane są przez kury, tak samo kalarepa, kiszona kapusta i kiszone buraki, tudzież wypustki buraków (przechowanych w piwnicy), parzona sieczka z drobnego siana lub też parzone kiełki słodowe. Można też w jesieni korzenie cykoryi i sałaty posadzić w piwnicy, wypuszczą one wkrótce liście w znacznej obfitości i powiększą dla odmiany zieloną karmę dla kur. Wszystkie tu wspomniane zieleniny lub surogaty tychże działają bardzo dobroczynnie i mogą być skarmione osobno, albo jeszcze lepiej, gdy się je skarmia pomieszane z kartoflami, otrębami lub też okruchami chleba. Również drobno potłuczone skorupy jaj i tak zwane środki drażniące, należy skarmiać w mieszaninie z paszą miękką. Do środków drażniących zaliczamy nasienie a także liście pokrzywy, co naturalnie w lecie i w jesieni zebrane być musi. Chcąc użyć liści pokrzywy, trzeba je poprzednio utrzeć, a następnie sparzyć; w tym samym celu można też użyć pieprzu. Ostrzega się jednak, że te środki pobudzające mogą być dodawane do karmy tylko w niewielkich ilościach.

Na wieczorne danie najlepsze jest ziarno w obfitej ilości. Za napój dawać czystą wodę niezbyt zimną; dobrze jest do naczynia z wodą wrzucić kilka zardzewiałych gwoździ albo innego żelaztwa. Takie żywienie dla kur nośnych będzie racyonalne.

2. Czystość jest również ważnym czynnikiem w racyonalnej hodowli kur, a wywiera ona niemały wpływ na zdrowie i pożyteczność tych zwierząt. Ale jakże ona wygląda, gdy przyjrzymy się kurnikom naszych włościan? Kurników nie oczyszcza się z pomiotu zwykle przez całą zimę, a w bardzo porządnych gospodarstwach, to już najwyżej raz jeden w ciągu zimowych miesięcy, nie można się przeto dziwić, że przy tak panującem niechlujstwie robactwo rozmnaża się w sposób zastraszający, a biedne kury trapione są bezustannie przez różnego rodzaju pasożyty, co im wcale nie wychodzi na pożytek.

Oczyszczajmy przynajmniej raz na tydzień banty i cały kurnik z pomiotu, a nadto dobrze będzie, gdy ściany i banty w kurniku

przynajmniej raz na miesiąc rozrobionem wapnem wysmarujemy, przez co powstrzymamy nadmierne rozmnażanie się robactwa. Do uwolnienia od niego kur bardzo będzie pomocne, gdy damy im możność użycia kąpieli z piasku albo popiele, w którym to celu ustawia się w kurniku skrzynkę o niskich ścianach, napełnioną piaskiem lub popiołem. W krótkim czasie będziemy mogli zauważyć, jak gorliwie ptactwo się tam zanurza. Oprócz tego i gniazda, w które kury jaja składają, należy od czasu do czasu posypywać prochem tytoniowym albo popiołem.

Na podściół do kurników najlepszym jest miał torfowy, piasek, trociny albo plewy. Przestrzegajmy w kurnikach czystości a przekonamy się w krótkim czasie, że przyniesie nam to niemałe korzyści. Uwidoczni się to nietylko na zdrowiu ptactwa, ale także i na powiększonej jego wydatności.

3. Ponieważ u starych kur nośność jaj się zmniejsza, przeto należy każdego roku przychować lub przykupić kllka młodych kur, a stare usuwać. Starszych kur po nad 5, a jeszcze lepiej po nad 4 lat nie powinno się trzymać. Młode kury jednoroczne, względnie 8—9-miesięczne, tak zwane marcówki, tj. takie, które wylęgły się w miesiącu marcu albo kwietniu, zaczynają się nieść bardzo wcześnie, bo już w miesiącu grudniu.

4. Ciepłe kurniki są niezbędne, jeżeli mamy na celu wczesną i obfitą produkcyę jaj, to jest w miesiącach zimowych. Dobre żywienie i czystość nie doprowadzą do celu, jeżeli kurniki są zimne. Tak samo też sprawa ta przedstawia się odwrotnie, tj. chociażby kurnik był ciepły, a żywienie nieodpowiednie i przy braku czystości również cel nie będzie osiągnięty, a tylko wszystkie te 3 czynniki razem mogą dać rezultat pożądany.

Wywar kartoflany i melasa jako karma. Rok bieżący jest anormalny pod wielu względami. Zbyt częste opady atmosferyczne (deszcze) w czasie żniwa uniemożliwiły zbiór zbóż kłosowych, zboża w wielkiej części porosły w stygach i na pniu i wysypały się, a słoma z tych samych powodów w znacznej części uległa zepsuciu.

W wielu okolicach podobny los spotkał i potrawy. Zdawało się z początku, że się na tem skończy, że ciepła i długa jesień powinna wynagrodzić ubytek słonecznych dni w lecie; stało się jednak inaczej.

W połowie października temperatura obniżyła się poniżej zera i to w czasie, gdy na wielkiej przestrzeni kraju ziemniaki, buraki pastewne i inne rośliny pastewne były jeszcze w polu. Później wprawdzie wykopano je, ale mróz, który je zastał nie wykopane, utrudnił możliwość ich przechowania.

Następstwem tego jest, że ostrożny gospodarz woli skarmić większe ilości tych roślin, niżeli narazić się na straty przez to, że okopowe w kopcu ulegną zupełnemu zepsuciu. To wszystko razem wziąwszy wywołać musi częściowy brak paszy w wielu gospodarstwach, a przezorny gospodarz zastanowić się powinien, czem ten brak odpowiednio będzie można zastąpić. Niniejszem mam zamiar wskazać na to, że wywar kartoflany i melasa buraczana nadawałyby się wcale dobrze do tego, by zastąpić choćby tylko częściowo przygodny brak owsa, siana słomy i buraków pastewnych w karmie dla koni, szczególnie przez zimę t. j. w czasie, gdy mniej pracy wymagamy od tych zwierząt. Oba gatunki karmy mają już od dawna szczere zastosowanie w żywieniu bydła rogatego, natomiast u nas mniej są jeszcze używane na pokarm dla koni. Doświadczenia porobione w tym kierunku na Zachodzie, powinny nas zachęcić do naśladownictwa, co szczególnie przy braku paszy tego roku nabiera praktycznego znaczenia.

Wywar kartoflany przedstawia karmę bogatą w związki azotowe, gdyż zawiera prawie całą ilość ciał azotowych, jakie znajdują się w produktach użytych na wyrób spirytusu. Główną zaletą wywarów jest, że zawarte w nich związki pokarmowe są łatwo przyswajane i mogą być w zupełno-

ści wyzyskane. Wobec tego wywar świeży, w dobrym gatunku stanowi wyborną karmę dla wszystkich zwierząt gospodarczych. Ponieważ jednak wywary zawierają w sobie około 90 procent wody, nie stanowią więc z natury rzeczy paszy udzielającej sił i dlatego dają je koniom roboczym zazwyczaj tylko w okresie, w którym stosunkowo mniej pracy wymagamy od tych zwierząt t. j. w zimie, i to w ilości 10—15 litrów.

Większa ilość wywaru, działając na organizm osłabiająco, musiałaby ostatecznie niebezpieczne dla zdrowia zwierząt sprowadzić następstwa, przy paszeniu więc wywarem potrzebna jest pewna odpowiednia ilość paszy suchej, t. j. słomy i siana, i to w ilości pół kilograma na 1 litr wywaru. Z powodu braku wapna w składzie chemicznym wywaru, a obecności kwasu octowego i mlecznego koniecznym jest w celu zobojętnienia kwasów w wywarze, dodatek 30 — 50 gramów kredy szlamowej do wywaru na sztukę. Zadawanie większych ilości wywaru kartoflanego pociąga czasem złe skutki dla zwierząt użytkowych; u koni występuje kolka. W podobych wypadkach należy ilość zadawanego wywaru zmniejszyć albo zadawanie jego na czas jakiś całkiem zawiesić. Korzystnem jest również przy skarmianiu wywaru jak najczęściej zmywać żłoby mlekiem wapiennem, jak wogóle codziennie starannie oczyszczać żłoby, gdyż pozostałe w nich resztki łatwo kwaśnieją i powodują następnie zepsucie się zadawanej paszy.

Dobre doświadczenia zrobiono w Niemczech przy skarmianiu wywarów z łubinem. Łubin przez 24 godzin moczy się, następnie go się zaparza, dodawszy trochę drożdży. Tak przyprawiony łubin ma przyjemny zapach świeżo upieczonego chleba, i słodkawy smak; po ostudzeniu zalewa się go wywarem. Karma ta jest pożywną i chętnie bywa przyjmowaną przez konie; zadawaną jest zazwyczaj na wieczór.

Korzystne wyniki osiągnięto dalej skarmianiem melasy u koni roboczych. Zawiera ona nie skrystalizowany cukier, sole potasowe i część składników azotowych i posiada smak słodkawo-słony. Sole zawarte w melasie działają przy większych dawkach przeczyszczająco i wywołują biegunkę, wobec czego powinna być dawaną tylko w małych ilościach, więc dla koni do 3 kilogramów na dobę i sztukę. W tej ilości skarmiana melasa działa nawet korzystnie, zapobiegając między innemi objawom kolek. Bardzo często używają dla koni melasy jako domieszki do śrutu kukurydzy lub łubinu i sieczki. Konie, gdy raz przyzwyczają się do melasy, bardzo ją chętnie przyjmują.

Z tych kilku uwag widzimy, że tak wywar, jak i melasa mogłyby i powinny znaleźć szersze zastosowanie w planie żywienia koni roboczych.

Zwalczanie szkodników i chorób roślinnych w listopadzie i grudniu.

1) Oczyszczamy pnie z porostów i mchów, o ile tego nie zrobiliśmy wcześniej i smarujemy wapnem.

2) Pociągamy na nowo pierścienie klejem przeciw przedzimkowi owocowemu (Cheimatobia brumata).

3) U drzew owocowych usuwamy zbyt gęste rosnące, porażone rakiem i zasychające gałęzie; — rany i narośla rakowate wycinamy aż do zdrowej tkanki.

4) Usuwamy z pni drzew ciała owocowe hub czyli żagwi, wycinamy nienormalne rozgałęzione (miotły), spowodowane przez grzybki pasożytnicze, a także krzewy jemioły (Viseum), które teraz po opadnięciu liści występują bardzo wyraźnie. Wszelkie rany zasmarowujemy natychmiast.

5) Obcinamy gałązki z gniazdami, utworzonemi z zeschłych liści, spojonych pajęczyną przez liszki różnych zimujących owadów szkodliwych, n. p bielinka głogowca (Pieris crataegi), białki rudnicy (Liparis chrysorrhoea). Gniazda te, występujące teraz wyraźnie na tle ogołoconych z liści gałęzi, możemy także palić za pomocą pochodni, umocowanej na długim kiju.

6) Niszczymy, napotykane na gałązkach, pniach, roślinach zielnych, płotach jajka brudnicy nieparki (Ocneria dispar) i innych owadów.

7) Usuwamy wszelkie wiszące jeszcze na drzewach i zawierające grzybki i zarodniki grzybów pasożytniczych liście i owoce, które następnie palimy lub zakopujemy głęboko.

8) Opadłe liście, gałązki, zgniłe owoce i jarzyny usuwamy starannie z ogrodu i dajemy do kompostu, mieszając je ze znaczną ilością wapna, aby zniszczyć w nich zarodniki grzybów i jajka owadów.

9) Obsiadujące korę mszyce tarczowate (Coccidae) niszczymy na winorośli, drzewach owocowych, drzewkach karłowych przez zdrapywanie tych szkodników z kory za pomocą twardej szczoteczki, zmoczonej w emulsyi naftowej z mydłem i pociągnięcie całego krzewu wapnem. W ten sam sposób niszczymy i mszycę wełnistą, o ile ta nawiedziła nasz ogród. Dla niszczenia mszycy wełnistej na korzeniach odgrzebujemy szyjkę korzeniową i nasady większych korzeni i przysypujemy je wapnem.

10) Usuwamy wszelkie stare, próchniejące drzewa, będące rozsadnikami różnych chorób i szkodników.

11) Przekopujemy ziemię pod drzewami, jeżeli tego nie czyniliśmy już przedtem a w ten sposób rozmaite szkodliwe owady, o ile nie zostaną bezpośrednio zabite, ulegną po wydobyciu na powierzchnię działaniu mrozów. Spulchnianie ziemi ułatwi także ptakom poszukiwanie owadów.

12) Zakładamy gniazda sztuczne dla ptaków pożytecznych, aby przez czas zimy łatwiej się mogły do nich przyzwyczaić; o ile możności tępimy ptaki szkodliwe.

13) Przeciw zającom, które przez obgryzanie kory sprawując tyle szkody w ogrodach, obwięzujemy młode drzewka kolczastemi gałązkami. Można także dla odstręczenia zajęcy dodać do wapna, którem smarujemy drzewka, trochę gliny i krwi bydlęcej.

14) W piwnicach i dołach przerabiamy jarzyny i owoce; starannie usuwamy okazy napsute. Podczas łagodnej pogody jest wskazane przewietrzanie piwnic i dołów przez otwieranie okien względnie luftów.

O konserwowaniu jaj. Posiadamy cały szereg sposobów na zakonserwowanie jaj na czas dłuższy: wymienimy z nich następujące:

1. Do konserwowania jaj okazał się kwas salicylowy bardzo dobrym. 30 gramów kwasu salicylowego kłóci się nasamprzód z odrobiną okowity, zaś następnie rozcieńcza się wodą i to litrem; w tym rozczynie pozostawia się jaja przez godzinę, następnie suszy się je i układa w sieczkę w skrzyni. W ten sposób przyprawione jaja trzymają się przez 4 miesiące, nie tracąc na wadze i smaczności.

2. Rozpuszcza się wapno niegaszone w wodzie i dodaje się do tego nieco kremortartaru, kładzie się zupełnie świeże jaja w ten płyn tak, aby były nim zupełnie pokryte.

3. Naciera się świeżo zniesione jaja słoniną, masłem lub oliwą i zanurza się je w otręby. Ostatnie przyczepiają się do otłuszczonego jaja i chronią je przed zepsuciem.

4. Kładzie się jaja w miałkie wapno.

5. Kładzie się świeże jaja w sól kuchenną.

6. Francuzi pokostują jaja lub je smarują woskiem.

7. Smaruje się jaja olejem i chowa w suchy piasek.

8. Smaruje się jaja masłem i chowa się w dobrze i ściśle zamykające się puszki, które — aby jeszcze powietrze do nich nie wniknęło — starannie papierem się okłada i stawia się w chłodnem miejscu.

9. Zanurzywszy jaja na dwa tygodnie w mleku wapiennem, chowa się je w popiół drzewny.

10. Rozpuszcza się tyle szelaku w alkoholu, aby z tego ułożył się gęsty pokost, którym jaja się smaruje. Skoro jaja oschły, kładzie się je w skrzynie z sieczką, plewami lub trocinami, cienkiem końcem na dół i tak, aby się nawzajem nie dotykały. Przed ukryciem można szelak sprytem zmyć.

11. Szkło wodne (Wasserglas) jest to płyn gęsty, w handlu się znajdujący, składa się z kwasu krzemowego i sody. Jeżeli się szkło wodne połączy z wapnem, natenczas łączy się kwas krzemowy natychmiast z wapnem i tworzy krzemień wapniowy, soda uchodzi, a powierzchnia wapna nabiera wyglądu szklistego. Ten sam proces odbywa się, gdy jaja posmarujemy szkłem wodnem; części wapienne skorupy jaj łączą się z kwasem krzemowym, tworząc na powierzchni przeźroczystą, bardzo ścisłą warstwę szklistą. Dziurki skorupy zostają zupełnie zamknięte, a jaja utrzymuje się przez długi czas w stanie świeżym. Na jedną część szkła wodnego nalewa się sześć części wody gotującej: skoro płyn ten ostygł, kładzie się w niego jaja; w krótkim czasie tworzy się powłoka szklista, a dłuższe pozostawienie tych jaj w tym płynie nie szkodzi im zupełnie, tylko skorupa nieco żółknie.

12. Jaja można zanurzyć w roztczynie soli konserwowej. Jeśli się weźmie rozczyn słabszy, mniej więcej 6 procentów tj. 60 gramów na litr wody, to pozostawić należy w nim jaja; jeżeli się weźmie soli mniej więcej 150 gramów na litr wody, natenczas wystarcza, jeżeli jaja przez 4 tygodnie w rozczynie tym pozostawi się, a następnie na deskę do przechowania ułoży. Głównie należy na to zważać, aby jaja przechowywano w miejscu chłodnem.

Poprawa łąk piaskiem. Łąki mokre torfowe, jak i zanadto mchem porosłe, jak liczne spostrzeżenia wykazały, często piaskiem suchym posypywane, mogą być znacznie ulepszone. Próby w tym kierunku robione dały dobre wyniki, jeżeli tylko powierzchnia łąk takich, dokładnie suchym piaskiem jednostajnie była pokrytą.

Tak dla nizkich jak i wysoko położonych warstwa piasku działa korzystnie, bo miejsca puste i mokre, jak i nierówne mchem porosłe, piasek wypełnia i powierzchnie łąki dokładnie wyrównuje. Stosownie do tego, czy łąka bardzo mokra, lub mchem mocno porosła nizko położona, zależnem jest, czy mniejszej lub większej warstwy piasku użyć trzeba. W każdym razie, chociaż w pierwszej chwili młode trawki będą piaskiem zupełnie przykryte i niejako przyduszone, to jednak później gęściej i szybciej wyrastają, a powierzchnia łąki staje się więcej wyrównana i darń tworzy bardziej zbitą masę. — Mech z czasem gubi się pod piaskiem zupełnie.

Jest to dobry sposób poprawy łąk, z łatwością można go stosować.

Mielone kości dla drobiu. Sprawa prawidłowego utrzymania i żywienia drobiu a zwłaszcza kur, nie schodzi w teraźniejszych czasach z porządku dziennego. Dużo się bowiem pisze o rasach ptactwa, o utrzymaniu i żywieniu, bo nie ulega wątpliwości, że zajmowanie się tą ważną sprawą, koniecznie jest potrzebnem. Gospodarze i t. p. co do tego niemało błędów popełniają, to też dziwić się nie można; że rzeczywistego dochodu z ptactwa domowego nie mają. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby nie było gospodarstw, w którychby chów ptactwa domowego a nawet tegoż „hodowla“ w prawidłowy sposób się nie odbywały, nie chcemy przez to powiedzieć, aby chów ptactwa domowego w niejednem gospodarstwie nie robił postępów.

Nie raz wykazaliśmy, że dobrem postępowaniem nie jest, jeżeli drób bardzo obficie będzie żywionym, zwłaszcza jednakową a nie urozmaiconą paszą. Bo wiadomo, że wiele gospodyń „sadzi się“ formalnie na to, aby jak najwięcej pośredniego zboża spasać w przekonaniu, że w ten sposób dużo jaj otrzyma. Nie wiedzą lub zapominają o tem że ptactwo także inną paszę otrzymywać powinno, jak tak zwaną „miękką paszę“ (parowane i postukane ziemniaki), że powinno otrzymywać zieleniznę latem — zimą zaś zaparzoną koniczynę, główki kapusty, plastry soczystego buraka, a do podniecenia trawienia — żwirowatego piasku pod dostatkiem. Także kości zielone są ptactwu potrzebne, a przynajmniej poda-

wanie mielonych kości do paszy w wysokim stopniu korzystnie wpływa na podniesienie nieśności, na lepszy rozwój i na zdrowie ptactwa. Tak np. doświadczono, że kury paszą z przymieszką kości mielonych żywione, przez całą zimę dobrze nosiły, jeżeli naturalnie pochodziły z wczesnego wylęgu, bo jak to często pisaliśmy, z późnego wylęgu nigdy pociechy nie będzie.

W Anglii i Ameryce dawno już spostrzeżono, że np. z dwóch gromad po 20 młodych kaczek, kaczki pasione mielonymi kośćmi z małą przymieszką owsa i ziemniaków, przybrały aż do 4 i pół funta w tym samym czasie, w którym kaczki pasione jęczmieniem i kukurydzą przeciętnie tylko 2 funty ważyły. Pasza z kości powinna być miękką i puszystą, bo w takim stanie kury najlepiej ją trawią.

Swego czasu opisywała pewna hodowczyni drobiu w jednem z pism zagranicznych doświadczenia z pasieniem kośćmi poczynione i mniej więcej tak się wyrażała:

„A jakie nam usługi w gospodarstwie domowem oddaje młynek do mielenia kości, dosyć powiedzieć, że kości, ten dziś przedmiot bezwartościowy (na wsi handlarze wędrowni nawet darmo go zbierać nie chcą), zamiast stroić nasze śmietniki, zmielone wraz z tłuszczem w nim zawartym i pewnymi częściami mięsnymi nie odstałymi w gotowaniu, zamieniają się na materyał, podnoszący wartość zwykłej paszy, używanej przy wychowie wszelkich młodych zwierząt domowych.

Niegdyś używałam kości mielonej wyrobu krajowego, lecz domieszka takowej do paszy prosięcej lub kurczęcej działa wprost ujemnie, odbierała tylko apetyt, czyniąc zwykle porcye mniej smaczne i pożądane.

Sprowadzałam mąkę kostną z renomowanych firm zagranicznych, następnie mąkę mięsną z Oldenburga. Było to kosztowne, a tak jedno jak i drugie wcale się nie okazało smacznem dla zwierząt. Kość zaś mielona, taka jaka wychodzi z kuchni, od razu bez przyzwyczajenia poprzedniego kur, bażantów i prosiąt, przyjętą została jako przysmak nęcący podniebienie.

Wypróbowany gust zwierząt — to najlepszy próbomierz wartości spożywanych pokarmów. Każdy praktyk doszedł do tego pewnika.

Młynek mielący kości kuchenne bardzo sprawiedliwie został nazwany „meblem użytecznym", chroni nas bowiem od owego marnotrastwa: kości, tłuszczu i odpadków mięsnych w zwykłym porządku rzeczy wyrzucanych za płot".

Żur zabielany. Wsyp do garnka 1 litr mąki razowej żytniej, zalej ją 3 litrami gotowanej zimnej wody, zamieszaj razem i postaw na 2 dni w dość ciepłem miejscu, by żur ukisł. Gdy ukiśnie, odstaw żur w chłodne miejsce na 2—3 dni, a potem go używaj.

3 litry wody wlej do garnka, postaw na gorącą kuchnię, a gdy woda zakipi, posól ją, wlej 2 litry żuru, jeszcze zagotuj i podpraw $^1/_2$ litrami śmietany lub mleka rozbitego z 2 łyżkami mąki. Do tej zupy podaj ugotowane ziemniaki. Wystarczy na 6 osób.

Groch przecierany. Litr grochu namocz z wieczora w letniej wodzie, by się nazajutrz prędzej ugotował. Ugotuj go, a gdy miękki, poduś go, by nigdzie całe ziarnko nie zostało i przetrzej przez druszlak na gęstą masę. Na gorącej kuchni zagrzej masę grochową, a uważaj, by się nie przypaliła. Podaj polane smalcem i cebulką zarumienioną. Wystarczy na 6 osób.

Tanie pączki. Wziąć 1 litr ugotowanych i przetartych przez sito kartofli dodać 25 deka sianej mąki i 3 deka rozkruszonych na sucho (bez mleka i wody) drożdży, z tego zamiesić ciasto, dać szczyptę soli, jeszcze raz wymiesić i wyrabiać małe pączki. Niechaj przez $1^1/_2$ godziny rosną, potem smażyć na gorącym smalcu — a usmarzony pączek dobrze ze wszystkich stron ocukrzyć.

Józefa Kruszyńska.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka. — Druk A. Rippera w Krakowie.

DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY
DO NR. 10 i 11 „PRZODOWNICY“ ZA PAŹDZIERNIK i LISTOPAD.

NIE WIELE MAMY.

Już 27 lat Kamieniec był w rękach Turków. Już 27 lat płakali ludzie patrząc, jak na wieżach kościołów naszych złocą się tureckie księżyce, słysząc, jak tam odprawiają modły pogańskiego zwyczaju, a raz po raz pytano z utęsknieniem:

— Kiedy Polacy Kamieniec odbiorą?

Oj, nie łatwo odebrać z rąk wroga rzecz zabraną.

Bolało to Polaków, iż patrzeć muszą na to, jak Turcy panoszą się w twierdzy zdobytej.

Hetman Stanisław Jabłonowski wytężał wiele sił, aby Kamieniec odebrać. Ofiarował 20.000 dukatów chanowi Tatarów, a ten miał z Turkami zawierać umowę, co do oddania twierdzy polskiej.

Syn hetmana, wojewoda, zwraca się do ojca i rzecze:

— Nie wiele mamy majątku. Możemy to dawać tyle pieniędzy w ofierze?

Ojciec zaś na to odpowiada z powagą:

— Gdy Ojczyzna potrzebuje ofiary, wtedy się nie liczy, ile kto ma dla siebie, bo wszystko powinno być poświęcone Ojczyźnie.

Jeszcze chce wstrzymać ojca młody wojewoda, jeszcze oblicza, jak nie wiele posiadają, lecz szlachetny hetman rzecze:

— Nie tylko dukaty, nietylko ziemię bym oddał, ale i ciebie synu ofiarowałbym, gdyby Ojczyznę tem trzeba było wspierać!...

I wkrótce potem oddali Turcy Kamieniec.

Podpisali umowę, zrzekli się praw i dnia 22 września 1699 roku... Kamieniec Polacy odebrali.

Co za radosna to była chwila!... Księżyce z wieżyc kościołów padły, krzyże zabłysły w promieniach słońca, dzwony zagrały i pieśni ludu wchodzącego w progi kościelne płynęły, jako muzyka najpiękniejsza. A kiedy radość roztoczyła swe skrzydła dookoła, kiedy ludzie uniesieni zachwytem, padali sobie w objęcia, całowali się, witali, wołając: — Kamieniec nasz!... Kamieniec wolny!... — wtedy rzecze hetman do syna:

— Mówiłeś, iż mało mamy... Popatrz teraz, jako wiele posiadamy, boć to co ojczyste, to nasze. Wiele ofiar złożyli Polacy w walkach mężnych i krwawych, ażeby Turków złamać, wiele sił oddano w służbie, ażeby wroga wygnać, lecz i moja ofiara może przyczyniła się trochę. Nie liczmy, wiele mamy, gdy Ojczyzna potrzebuje, ale dawajmy wszystko, by jej szczęście i wolność zapewnić.

Turcy już z Kamieńca wychodzą. Żal bardzo temu baszy, który tam rządził i siedział, jako król możny.

— Wolałbym, ażebyście po moim trupie szli stąd — woła z żalem.

Turcy oddają Kamieniec panu Marcinowi Kąckiemu, który w imieniu króla polskiego rządy odbiera.

— Chodźmy teraz panie generale do lochów — rzecze basza turecki. — Tam w lochach są bomby i granaty, proch i kule, oddamy wszystko.

Weszli w głębokie, ciemne lochy. Ogromne zapasy prochu w beczkach dookoła.

Gdyby tak nieostrożnie padła jedna iskra ognia, cała twierdza poszłaby w powietrze, w gruzyby runęła...

Basza turecki spogląda ponuro. Na czole jakaś myśl straszna rysuje mu zmarszczki... Zemsta go namawia do złego czynu...

Jedna chwila... basza zapalony knot rzuca w stronę beczki prochu...

Lecz generał Marcin Kącki chwyta knot w dłoń i ściska silnie. Pali, piecze, rani strasznym bolem rękę Polaka ten knot siarką napojony, ale on na to nie zważa, tego nie czuje...

Widzi to basza turecki, patrzy i pojąć nie może, skąd tyle bohaterstwa...

A generał Kącki trzymając knot tak długo na dłoni, dokąd całkiem nie zgorzał, rzecze do Turka:

— Nie wiele mamy twierdz silnych, więc bronić musimy, choćby i nie jedna dłoń, ale obie spalone zostały.

. . . .

Z mojej chaty myślą idę po kartach historyi i pytam ze łzami:

— Wiele my mamy na obronę Ojczyzny i na poświęcenia ofiary?

Nie jedną twierdzę odebrać trzeba, ale cały wielki kraj i nie jeden ogień stłumić należy, ale tysiące skier krzywd.

Tylko w sercach naszych niewiele miłości, a oczy niedaleko poza chatę dojrzą.

RABUSIE W KOŚCIELE.

Albośmy to mało stracili i przecierpieli?

Alboż to mało wrogowie nam zabrali i mało krzywd nam uczynili?

Nie napisałby tego przez rok cały, wiele nam krzywd czyniono, nie opłakałby łzami tych smutków i bólów, które nad Polską roztaczały swe, czarne skrzydła...

Byłyż to czasy — były! Szwed szedł po kraju i palił, mordował, rabował.

Przyszedł Szwed pod Kraków.

— Muszę wziąć to miasto i nikt go nie obroni!...

Cały miesiąc stoi Szwed pod Krakowem, strzela, pali, ale miasto się broni.

Pan Stefan Czarniecki w Krakowie z wojskiem się zamknął i chce miasto obronić, ale ma za mało wojska, za mało broni, za mało kul, bo w kraju taki nieład, iż nawet nie spieszą ludzie na obronę Krakowa.

Dzieci krakowskie zbierają kule szwedzkie i przynoszą „ojcu Czarnieckiemu“, dzieci by rade miasto od wroga uchronić, ale nie wiele pomogą.

Od 15 września do 17 października roku 1655 stali Szwedzi pod Krakowem.

Aż wreszcie pan Czarniecki musiał się poddać.

Gorzko mu było i boleśnie, ale dłużej walczyć nie było można. Podpisał więc z Szwedami ugodę:

Wejdą do miasta, dostaną Kraków, ale nie tkną kościołów, klasztorów i akademii. Tak Szwedzi podpisali.

Pan Czarniecki z polskiem wojskiem wyszedł, Karol Gustaw, Szwed, wszedł do Krakowa z swoimi żołnierzami.

Albośmy to mało przecierpieli?

Alboż to mało nam krzywd wyrządzono?

Wchodzą Szwedzi i zaczynają tu rządzić, jako w swoim własnym kraju.

Na Wawelu ksiądz Starowolski starał się pochować drogie pamiątki i cenne zabytki.

Co mógł, to ukrył.

Powiadają mu inni: — Wszak Karol Gustaw podpisał Czarnieckiemu umowę, iż kościołów nie tkną jego żołnierze, wszak możemy być spokojni, nie tkną się poświęcanych rzeczy.

Ale stało się inaczej.

Mimo umowy, na którą król szwedzki przyrzekł, iż ją dotrzyma, weszło wojsko szwedzkie do kościoła na Wawelu i zaczęło rabować.

Czyśmy to mało przeboleli i przepłakali? Smutno o tem wspominać. Lecz rabusie do kościoła weszli jak do skarbca, ażeby jak najprędzej i najwięcej zdobyć.

— Co robicie, ludzie? Co robicie? wszakże to kościół, miejsce poświęcane, wszakże tu składali ofiary Bogu na chwałę, nie ludziom na zabawkę!

– Co robicie ludzie? Wszakże król wasz przysiągł, iż kościoły zostaną nietknięte, czemuż więc zdzieracie złoto i srebro z ołtarzy?!...

Rabusie nie słuchają. Szarpią, drą, chwytają, łapią, co mogą, ile mogą, byle najwięcej, byle najprędzej. Gdy wszystko z ołtarzy zdarli, poszli w groby królewskie, otwierali trumny i brali z ciał biskupów i królów, co było drogiego. A kiedy i tam już nic nie mogli znaleźć, wróciwszy do kościoła, porwali srebrną trumnę świętego Stanisława.

Trumnę tę, szczerosrebrną, przed 22 laty król Władysław IV w Wielką Sobotę ofiarował na relikwie świętego Stanisława, a na rezurekcyę lud wierny pierwszy raz obaczył tę wspaniałą trumnę na ołtarzu ustawioną.

Teraz Szwedzi wyrzucają święte relikwie biskupa polskiego i trumnę srebrną biorą.

Gdy się w Krakowie o tem dowiedziano, płacz powstał żałosny. Całe miasto powtarzało wieść tę, jako najboleśniejszą nowinę. Niejedne usta zaś rzekły:

– Rabusie tylko tak potrafią uczynić — nie żołnierze, ale rabusie z kościoła zabierają poświęcane pamiątki.

Szwedzi skarby na wozy ładują.

Osiemdziesiąt wozów jedzie z Krakowa, 80 wozów, naładowanych srebrem, złotem, drogiemi skarbami.

Wiozą z Polski do Szwecyi zabrane skarby, skarby, wydarte z grobów, zdjęte z ołtarzy po kościołach, z relikwii świętych zabrane.

A Polska biedna i nieszczęśliwa pyta:

– Gdzie dzieci moje, gdzie synowie moi?

Wszystko niezgoda zepsuła. Jedni łączą się z wrogami, drudzy między sobą się spierają.

Gdyby w kraju była jedność i miłość, toby rabusie do naszych kościołów nie śmieli wejść.

Ta trumna, która dziś jest na ołtarzu świętego Stanisława na Wawelu, to jest trumna nowa, zrobiona z srebra ofiarowanego przez ks. biskupa Gembickiego, którą w 16 lat później złożono.

Jeszcze niejeden raz w kościele na Wawelu byli rabusie, którzy zabierali skarby, ale już trumny św. Stanisława nie ruszono.

Wiele nam krzywd czyniono i wiele nam skarbów zabierano. Nie wydarto nam jednak wiary w to, iż Polska żyje i żyć będzie.

CZARNY ORZEŁ.

Smutny to był dzień w ukochanym Krakowie...

Śnieg pruszył, słońce jak przez łzy patrzyło, a Polacy ciężki ból czuli w piersiach.

Smutny to był dzień 5 stycznia 1796 roku...

Bębny huczą, broń się srebrzy, słychać kroki maszerujących wojsk. Nie idą to nasi dzielni wojownicy, nie wracają to bohaterowie, jako ongi z pod Racławic... lecz wchodzi do Krakowa obce wojsko.

Ulicą Grodzką, wchodzi austryackie wojsko w mury miasta Krakowa i zaciąga tutaj warty.

Smutny to był dzień 5 stycznia 1796 roku...

Wchodzi obce wojsko, staje na rynku, cisza ponura i żałość wielka w oczach Polaków.

— Co to będzie? pyta ten i ów...

— Już Kraków nie będzie wolnem, polskiem miastem, już Kraków przechodzi pod rząd obcy...

— O Jezu!... doczekaliśmy się tego?.. Stolica Polski już nie jest wolnem miastem?...

Zbiera się ludzi wiele, ten i ów wzdycha

ciężko, tam i ówdzie łzy ciche toczą się po licu...

Jakiż to dzień bolesny i żałosny... o! tylko ten zrozumie, kto tracił wolność...

Na krakowskim rynku ludzi mnogo. Spoglądają na wojsko stojące, czekają co będzie.

Prezydent miasta Krakowa, Lichocki, wychodzi na ganek ratuszowy.

Trąby grają, bębny huczą, wojsko stoi dookoła, a przezydent czyta patent cesarski.

— Kraków nasz kochany! biedny nasz Kraków, szepcze staruszka drżąca, przytulona do wnuka.

— Babciu! nie płacz, bo mi ogień serce pali, bo mi ból jak sęp czoło kaleczy... ja patrzeć na to muszę, ja?...

— Taka nasza niedola i niewola, odpowiada babunia, już szczęścia tu nie będzie — wolne, królewskie miasto nasze, miasto Piastów i Jagiellonów, już nie wolne.

Znowu zahuczały bębny, zagrąły trąby... a od starych murów kamienic i wieży Maryackich, echo odpowiedziało żałośnie...

— Co robią? Co robią? pyta lud, wznosząc oczy...

— Co się dzieje? babunia pyta wnuka i przeciera oczy, jakby chciała widok ten zedrzeć...

— Orła białego zdejmują z ratusza...

— Orzeł nasz biały stąd zejdzie?... Dziecko polskie i ty na to patrzeć możesz?... ty wnuku dzielnych bohaterów, ty synu obrońcy wolności, ty możesz na to patrzeć jak orła polskiego zdejmują z wieży starej?

— Babuniu przestań, bo porwę się i pójdę do nich... a stanie się coś okropnego...

Zatrzymała go drżącą ręka i szepcze ledwie dosłyszalnym głosem:

— Zabrakło obrońców, gdy podpisać dali rozbiór – to i teraz ty jeden nic nie zrobisz... boli, a czekać trzeba...

Już orzeł biały zdjęty...

Nie biją dzwony w pieśń żałoby i smutku, nie powiewają czarne chorągwie, jako po stracie bolesnej, jeno idzie cichy, żałobny szept i łzy się toczą... Oj! gorzkie to łzy ludu, patrzącego jak niewola swoje skrzydła rozpina.

— Gdzie ten orzeł teraz na schowanie pójdzie, pyta jakiś chłopczyna, a na te słowa jęk głośniejszy ozwał się w około...

— Gdzie tobie biały orle teraz miejsce, jeśli już w Krakowie nie ma dla ciebie gniazda?...

Białe płatki śniegu padają, mroźny wiatr czasem rzuci w twarz ludu zawieją gęstszą, a łzy krzepną na policzkach.

Smutny, żałosny dzień dla Krakowa.

— Już skończone? babunia pyta...

— Teraz zawieszają orła innego...

— Tak prędko? tak rychło na miejsce królewskiego, naszego ptaka, inny staje?...

Czarny orzeł przybity na ratuszu w Krakowie.

A biały ptak zniknął z widoku i nikt niewie, gdzie ukryto ów znak wolności Polski.

Lecz w parę dni, gdy za trumną babuni szedł młodzian z pochyloną głową, spojrzał żałośnie na czarnego ptaka i szepnął:

— Było jedno serce, które bić przestało na widok twoich skrzydeł.

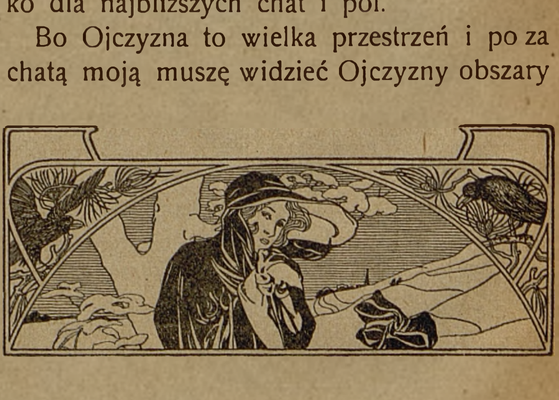
Takie bole i smutki przeżywano u nas.

Tak przecierpieliśmy wiele i Ojczyznę miłując płakaliśmy nie jeden raz, nie nad sobą ale nad Matki niedolą...

Z mojej chaty myśli idą po dalekich obszarach i pytam, kiedy wrócą dawne, lepsze czasy?...

Jest moc i potęga w sercach milionów, ale trzeba, by serca te biły miłością nie tylko dla najbliższych chat i pól.

Bo Ojczyzna to wielka przestrzeń i po za chatą moją muszę widzieć Ojczyzny obszary.



Nie zginiesz ty maju!

(Dokończenie).

ZOSIA.

Ah! co ty mówisz... wiesz... ja nie mogę...
Zrozumieć ciebie!...

BABCIA.

niechże wspomogę
Dziada starego — (daje mu grosz) dobrze [czynicie
Gdy ją wspieracie, gdy prowadzicie...

CIOCIA (zrzucając z siebie perukę).

A teraz jakie wsparcie dostanę?

BABCIA i ZOSIA.

Ah ona! ona!... (rzucają się jej na szyję)

WANDZIA.

dobrze oddane
Są nasze role... widzisz babuniu...
Widzisz płaczliwa moja siostruniu...
Kto chce Ojczyźnie pomagać szczerze,
Ten i nie łatwe drogi obierze...

WOJCIECHOWA.

A mego Jaśka czy nie widzieli?

CIOCIA.

Ale wiadomość my o nim mieli,
Zdrów i zuch wojak..

WOJCIECHOWA.

Dzięki Bogu!...

BABCIA (tuląc obie).

Witam was, witam na moim progu...
Dzielne, wytrwałe, w służbie dla kraju...

WANDZIA.

My pamiętamy o **trzecim maju!**
On także wzywał, by naród cały
Bronił wolności...

CIOCIA.

Wiele my zebrały
Czybyście odgadły?... Ślubne obrączki
Nawet zdejmują panie z swej rączki,
Perły, korale... klejnoty stare
Pamiątki drogie — nikt na ofiarę
Nie pożałuje — nie liczy, nie waży...

WANDZIA.

I w niejednej chacie dostać się coś zdarzy...
Nawet ta wdowa, za lasem... Klimowa,
Kiedyśmy o walce, rzekli szczere słowa
Otarła łzy cicho... zdjęła sznur korali
Z szyi Marysieńki...

SCENA VII.

KASIA (wpada zdyszana, przestraszona).

Wojsko! wojsko! wali...
Tędy od kościoła...

WSZYSTKIE (razem).

Jezus! Marya!...

WOJCIECHOWA.

Dzieci moje! dzieci! (wybiega)

SCENA VIII.

Ciż bez Wojciechowej.

KASIA (łamiąc ręce)

Idzie tego, idzie mur...

WANDZIA (żywo).

Czy od lasu czy od gór?

KASIA.

Oh! panienko!... z tamtej strony...

ZOSIA (z trwogą).

Jak ten żyta łan zielony?...

BABCIA.

Chować, chować się potrzeba...
Srebro wziąć trza...

CIOCIA (w okno patrząc).

Pomoc z nieba
Wszak to nasi!...

WANDZIA (klaszcząc w ręce).

O! nowina
Przeradosna!...

ZOSIA.

jak malina
Cała jesteś zrumieniona...

BABCIA (pytając).

A straż wrogów?

CIOCIA (z uśmiechem).

już spłoszona!
Uciekają... cha! cha! cha!...

WSZYSTKIE.

Cha! cha! cha!...

KASIA (zdziwiona).

Panienko! złota... wy się śmiejecie?....
Nieszczęście, wojsko!...

WANDZIA.

Nie moje dziecię...
Wojsko nie każde nieszczęście sieje...
Wszak to Polacy... krew się nie leje,
Gdy oni przyjdą... za wolność naszą
Walczą i cierpią, za wolność waszą...

KASIA.

Za naszą wolność?... i ojca i brata?

WANDZIA.

I każda wieś w Polsce i każda chata
W wolności stanie jak w błysku słońca
Gdy wróg ustąpi...

BABCIA.

Ja — błogosławiąca
Wyjdę powitać obrońców kraju... (wychodzi).

CIOCIA.

Chodźcie dziewczęta...

ZOSIA.

Radosny ty maju...
Znowu pociechy przynosisz, błyski
(wychodzi razem z ciocią).

SCENA IX.

WANDZIA z KASIĄ (pokazując wojsko)

WANDZIA.

Biegnij że w ogród... na tamtej grzędzie
Gdzie są narcyzy — jak ten krzew nizki...
Znajdziesz dość kwiatów... wnet wieniec [będzie,
Przynieś tu, przynieś — niech dziewczę, [z sioła
Włoży kwiat biały na młode czoła...
Oni dni tyle — w śród walki i znoju...
A my tu prawda? niby w spokoju...
Oni krew leją — (po chwili) kiedyś zrozumiesz
Dziś jeszcze tego cenić nie umiesz,
O! dziś nie jedna w Polsce się pyta
Za co krwi tyle?...

SCENA X.

Ciż i wchodzi ZOSIA.

ZOSIA.

Czemużeś ukryta?
O ciebie Wandziu pan Czachowski pyta

WANDZIA (do Kasi).

Idź!... przyniesiesz kwiaty — (Kasia wychodzi)

WANDZIA (do Zosi).

Kiedy moje katy
Widzisz?...

ZOSIA.

Siostrzyczko kochana...
Tyś nad wszystkie lilje dziś piękniej ubrana,
Na twojem czole jest zasługi chwała...
(z smutkiem).
Ja nie taka dzielna — ja tak nie umiała
Od Moskali bronić... ni służyć wytrwale...
(z płaczem).
I ja kocham Polskę, ale widzisz, ale...
Kochać umiem tylko pokryjomu...
Wśród dzieci — w chacie, w cichym domu...
Smutnego pocieszyć — przygarnąć biednego...

WANDZIA (tuląc ją).

Aniołku ty cichy!... czyż serca takiego
Nietrzeba w Ojczyźnie?... Kochać lud i chaty...
A będzie plon życia piękny i bogaty...

SCENA XI.

CIOCIA (staje w drzwiach).

Babunia do gości zaprasza i czeka...

WANDZIA (wesoło).

Idziemy! idziemy! niech ucieka
Troska z czoła...

CIOCIA.

Nie na długo spoczną tu
Orły!... w służbie trwają... dzieci po dniu...
Ni im dachu ni im chleba...

WANDZIA (wraca się od drzwi).

Ciociu! widzisz?... (wskazuje w okno)

ZOSIA (z krzykiem).

Idzie! idzie!...

CIOCIA.

trzeba
Go wstrzymać... Wandziu!... ty rozumiesz...

ZOSIA.

O Wandziu ratuj!... ty jedna to umiesz...

CIOCIA.

Jako z tym kłębkiem... dzielna dziewczyno...
(wychodzi).

SCENA XII.

WANDZIA i ZOSIA później MOSKAL.

WANDZIA (biegnąc do fortepianu).

Zosiu, wesoło... tańczyć w tej chwili...

ZOSIA (zdziwiona).

Co? tańczyć?...

WANDZIA (wpół szeptem).

Chcesz by ukryli
Tamci broń naszą?... tańczyć i śpiewać!
(zaczyna grać wesołego mazurka lub krakowiaka

JANEK.

Wychowali bym był kat...

CIOCIA.

I pieśń Wandzi cię zbudziła...

JANEK.

Ona! ona mię wskrzesiła.

BABCIA (do Wandzi).

O dziecko drogie! przez miłość kraju
Wieleż zdziałałaś?...

WANDZIA (wesoło).

Tak! tak babciu... w maju
Się budzą serca z uśpienia
Trzeci maj dzieci w dojrzałych zmienia...
Błagałam ciebie, prosiłam szczerze:
— Niech mię babunia do służby bierze...
A czy źle było, że Wandzia płocha
Kłębek zwinęła?...

CIOCIA (tuląc ją).

kto tak Polskę kocha
Jak ty dzieweczko... ten znajdzie drogę,
Ażeby wesprzeć, dźwigać niebogę...

JANEK (chyląc się kornie przed Wandzią).

A ja — moskal nie lubiany
Pójdę z wami leczyć rany
Ojczyzny biednej!...

ZOSIA (płacząc).

do niczego
Jestem zawsze... nic dobrego
Nie zrobiłam... nikt nie kocha
Mnie...

WANDZIA.

Zośka, patrzcie, znowu szlocha...
Kasiu!... skocz co rychło, skocz po dzieci...
Wiwat wolność i maj trzeci...

BABCIA.

Trzeci maj! Boże daj...
By był wolny polski kraj...

SCENA XIV.

Ciż i Kasia z dziećmi, Wojciechowa. Dzieci otaczają Zosię, Kasia Wandzi kwiaty podaje.

CHÓR DZIECI.

Szumi wicher szumi
Gałązką powiewa...
(jedno dziecko solo).
Hej! hej! gałązką powiewa
A w Polsce maj trzeci
O wolności śpiewa
(solo) Hej! hej! o wolności śpiewa..

(Wszyscy przechodzą jakoby poloneza po scenie potem znów ustawiają się w żywy obraz — babcia na środku, ciocia obok, Janek u nóg babki, Zosia wśród dzieci, Wojciechowa z radością klaszcze w ręce, a Wandzia do gości zwrócona śpiewa sama).

Nie zgaśniesz ty maju...
Choć chmury do koła.
(chór) Hej! hej! choć chmury do koła...
Zawsze wielbią ciebie
W Polsce miasta — sioła...
(chór) Hej! hej! w Polsce miasta sioła!

(Zasłona spada).



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka – Druk A. Rippera w Karakowie.